JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

ŻYCIE CHOPINA

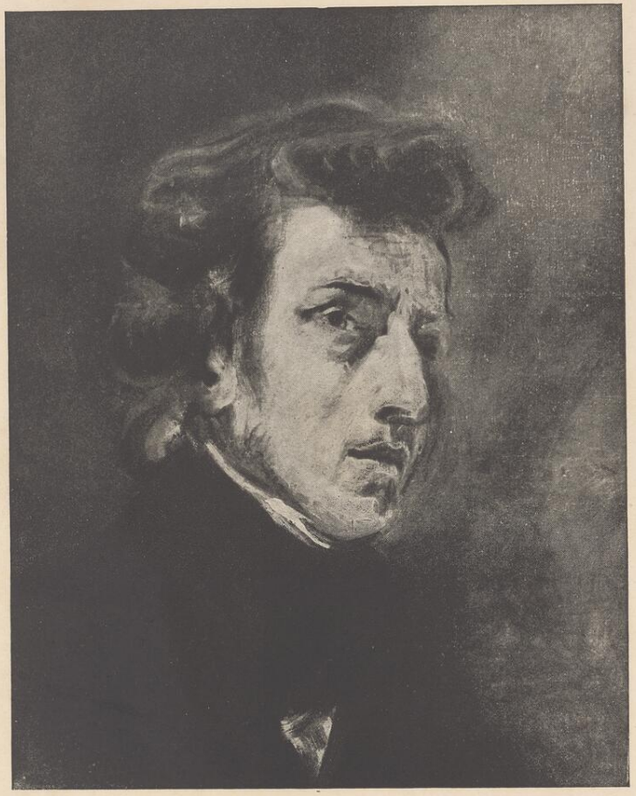


GEBETHNER i WOLFF

ŻYCIE CHOPINA

JULJUSZA KADEN-BANDROWSKIEGO

NIEZGUŁA, powieść, Lwów 1911, wyczerpane
ZAWODY, nowele, wyd. II, Warszawa 1922, wyczerpane
PROCH, powieść, wyd. II, Warszawa 1921, wyczerpane
ZBYTKI, nowele, Kraków 1914, wyczerpane
PIŁSUDCZYCY, wyd. VI, Warszawa 1937
ISKRY, Wiedeń 1915
BITWA POD KONARAMI, Wiedeń 1915
MOGIŁY, wyd. II, Lublin
SPOTKANIE, nowele, Warszawa 1917, wyczerpane
ŁUK, powieść, wyd. II, Warszawa 1929
WYPRAWA WILEŃSKA, Warszawa 1919, wyczerpane
PODPUŁKOWNIK LIS-KULA, wyd. VII, Warszawa 1936
WIANKI, Warszawa 1920, wyczerpane
WIOSNA 1920 ROKU, Warszawa 1921, wyczerpane
RUBIKON, nowele, Warszawa 1921
GENERAŁ BARCZ, powieść, wyd. II, Lwów 1930
WAKACJE MOICH DZIECI, nowele, Warszawa 1924, wyczerpane
PRZYMIERZE SERC. nowele, wyd. II, Zamość 1930
MIASTO MOJEJ MATKI, wyd. V, Lwów-Warszawa 1936
W CIENIU ZAPOMNIANEJ OLSZYNY (Z cyklu: Miasto mojej matki) wyd. IV, Lwów-Warszawa 1936
EUROPA ZBIERA SIANO, Lwów-Warszawa 1926
NAD BRZEGIEM WIELKIEJ RZEKI, wyd. III, Lwów-Warszawa 1936
RZYMIANIE WSCHODU, Warszawa 1929, nakł. Sekcji Bibliofilów Pol. Uniw. Warsz. wyczerpane
NA PROGU, Warszawa 1928
STEFAN ŻEROMSKI, Lwów 1930
TRZY WYPRAWY, Lwów 1930
PIÓRO, MIŁOŚĆ I KOBIETA, Lwów 1931
ZA STOŁEM I NA RYNKU, Lwów 1931
ACIAKI Z PIERWSZEJ A, Lwów 1932
BUDUJMY SZKOŁY, Warszawa 1933
MATEUSZ BIGDA (Z cyklu „Czarne skrzydła")
I Grunt, Warszawa, 1933. II Masło, Warszawa 1933. III Spiżarnia, Warszawa 1938
POD BELWEDEREM, Warszawa 1936
DROGĄ WOLNOŚCI, Warszawa 1936
LENORA (Z cyklu „Czarne skrzydła" I) wyd. III, Warszawa 1937
TADEUSZ (Z cyklu „Czarne skrzydła" II) wyd. II, Warszawa 1937



1810 — 1849

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

ŻYCIE CHOPINA

GEBETHNER I WOLFF
1938

Okładka, ozdobniki w tekście
oraz układ graficzny
TADEUSZA PIOTROWSKIEGO

Portret Chopina przed tytułem
według obrazu
DELACROIX

Zbiory Stowarzyszenia I.F.C.
NARODOWY INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA BIBLIOTEKA
2402

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa

CZYM BYŁ CHOPIN

CZYM BYŁ CHOPIN

Od czasu, gdy się objawił, słuchamy w zadziwieniu, w olśnieniu, słuchamy ze łzami w oczach, my ojcowie, dziadowie nasi, my Polacy i wszyscy inni na wszystkich ziemiach i wyspach tego świata. A już dla nas, Polaków, łaska to szczególniejsza i niepomierne szczęście, bo gdzie jesteśmy, choćby najdalej od ojczyzny, gdy tylko ton czarowny tego mistrza zabrzmi, śmieją się do nas ludzie z wdzięcznością, jakbyśmy się i my, ziomkowie Fryderyka, jeszcze w lat prawie sto po jego odejściu, do geniusza jego naszą współpracą przyczyniali.

Jakże mówić o cudzie, którego ze łzami w oczach słuchamy, który nas głębią swą kołysze aż do samego dna pamięci narodowej i ludzkiej, i jeszcze innej, głębszej, niespodziewanej! Niespodziewanej, nieoczekiwanej, albowiem w zaświatowym śmiechu i żalu jakowymś wieczystym, i w biegu, i w porywie szalonym, i w tym spokoju nieśmiertelnym, które Chopin w nas wznieca, odkrywamy zasoby, głębiny uczucia, które się rozświetlają, gdy on grać poczyna, a które nikną, gdy on grać zaprzestanie: on jeden, tajemniczy odkrywca pamięci niepojętej, czulszej od wszystkich innych, pamięci, dla której braknie słów.

Braknie słów, więc jakże tu o niej rozprawiać? Ani to wymalować, ani wyrzeźbić, ani też wypowiedzieć. Cud, czarodziejska przygoda, dar z nieba, uśmiech losu, niechże mi wolno będzie powiedzieć: uśmiech samej wieczności nad stratą, nad rozpaczą, nad zatraceniem najokrutniejszym chyba, nad przepaścią!

Szli już od lat dziesiątków Polacy ze swojej ojczyzny na północ, wschód, na zachód i południe: w cztery strony świata rozbiegał się ten naród przydeptany stopą przemocy. Jak z ciała zranionego krew, uchodziła z tego tratowanego kraju wszelka moc, dzielność, odwaga, nawet praca.

Przed nową burzą dni listopadowych odfrunął z Polski Chopin, a potem już do końca życia płynął z falą powstańczą przez ziemie Europy, na szkarłatach onej fali tragicznej przedziwny kwiat, w którym zamknięta była tajemnica nowej muzyki świata.

Czegoż się w Polsce nauczył, czegoż doświadczył? Naszego towarzyskiego obyczaju zaznał, dziwnego obyczaju tamtych czasów między zgrozą rzeczywistości a stylem empirowym rozpieszczonego romantycznie, zaznał opieki nauczycieli, bezradnych przecież wobec takiego geniuszu, zaznał serca przyjaciół i jakiejś młodocianej miłości.

Z tych pierwszych doznań młodości i z kawałeczka polskiej ziemi pomiędzy Żelazową Wolą a Warszawą umiał wysłuchać wszystko. Wszystko, czym cała Polska tchnęła w powabie pieśni i tańca od setek lat. Już wtedy przecie jako kilkunastoletni młodzieniec uwoził z sobą dwa swoje koncerty fortepianowe, dzieła, od których głębi po dzień dzisiejszy truchleją serca, dzieła, których czar niepożyty szumi zawsze skrzydłami młodości.

Tych dwu koncertów już by starczyło, by się takie czarnoksięstwo dokonało, że naród cały piękną karteczką nut szopenowskich duszę swą światu objawił i zaraz zwyciężył jakże szczytnym zwycięstwem: niczego nikomu nigdzie nie odbierając wszystkiemu wszędzie dał siłę nową, tak młodą, iż czerpią z niej już sto lat wszyscy najwięksi i końca młodości tej nie widać i zdaje się, jakby na wieki owa młodość szopenowska wszystkie inne, przyszłe, choćby najdalsze już w sobie pomieściła.

Dlatego to powiadam, że Chopin odfrunął: bo jakże określić inaczej, aby wyrazić niezwykłość zjawiska? Że jako osiemnastoletni chłopiec chodził tędy w Warszawie, po Krakowskim Przedmieściu, że partytury swych koncertów z domu do sali konserwatorium przenosił młokosik elegancki, a to już były wcale nie dwie jakieś tam bardzo dobrze sporządzone partytury, a tylko zorze nowej pogody tonów. A on nie był już wtedy powabnym młodzieniaszkiem, lecz ptakiem uroczonym, w którego piersi drżała nowa muzyka świata.

I tak to było zawsze, wszędzie, ze wszystkim, czego tknął: tu Ojczyzna, tu znów epoka współczesna, tu świat, a tu on, Chopin, i przy krwawiącym boku najdroższej Ojczyzny, i wśród epoki rozsrożonej piorunem Beethovena, i na świecie roztrzęsionym od nowych praw, Chopin zawsze najbliżej tego wszystkiego

a zarazem najdalej lecący naprzód. Więc tu, blisko, przy Ojczyźnie, w epoce i na świecie, a zarazem nieustannie gdzie indziej! Gdzie?

Na dalekim progu nieśmiertelności.

Gdy się znalazł na szerokim świecie wątły, grzeczny grymaśnik wśród towarzystwa owoczesnych geniuszów i owoczesnych emigrantów naszych, działaczów czy rębajłów, zaraz mu nasi kładli w uszy, jakby winien pracować dla Polski. Wszyscy nasi owocześni geniusze odkupywali Polskę ogromnymi słowami, wynosili pod niebo i na krzyż przybijali, aby Jej krwią odkupić cały świat.

Oni w opończach chmurnych, płaszczach, czamarach, a cóż on, ten Fryderyk, rzekomo autor „modnych salonowych walców", we fraku przykrojonym wedle ostatniej mody, on, który na królewskim dworze żądał dla swej muzyki ciszy, jakiej wielmożnym gościom nie mogła żadną miarą narzucić etykieta, a potem słaby, ach, już śmiertelnie chory, chodził po czarnych schodach na piąte piętra do prostackich wojaków polskich i tam przygrywał im nieomal że do tańca, ale opery nie chciał dla Polski napisać mimo rad Mickiewicza i mimo że Rossini, Meyerbeer zdawali się operą właśnie zmieniać porządek świata.

Oni tak, a on nie. Dlaczegoż więc, dlaczego?!

Widzi mi się, że tak się działo dlatego, iż była w tym geniuszu wiedza spraw wyższa od tej, którą posiedli inni. Wiedza, która czyniła, że choć współczuł jak inni, że choć tak samo cierpiał nad sprawami ziemskimi, przetwarzał je, zwyciężał i zanosił na takie wyżyny, z których nie widać prawie celów doczesności, lecz wieczność się rozściela, radosna ze wszystkiego, co żyje. Polska dała mu ziemię natchnienia, dała mu ziarno dźwięku, ale tony, które Chopin z tej ziemi wyprowadził, stały się już uczuciem powszechnego człowieczeństwa. Zaprawdę, im bliżej przy nas trwał, tym dalej i tym wyżej uchodził od nas i dlatego mamy go w sercach naszych na zawsze, żeśmy wielkości jego nigdy ogarnąć nie mogli.

Gdy się znalazł wśród mistrzów epoki: Beethoven, Schubert, Schumann, Mickiewicz czy Słowacki, Byron, Heine, Delacroix i wszyscy wielcy współcześni! Wszyscy oni pozostaną na zawsze w swoim czasie. Oni jak głos najczystszy, lecz on prędszy, lecz on jak struga światła.

W ich głosie, choć najczystszym, dosłuchasz się na koniec żmudy danego im w wieczności czasu, dosłuchasz się nareszcie tego jakiegoś ziemskiego kołatania epoki. Gdy sobie powiedzieli, że muszą, powtarzają, co raz już powiedzieli, a gdy coś uporządkowali jako styl, przykrawują do stylu co tylko mogą.

On zaś, Chopin, jakby bez stylu właściwego, wszystko czego się tknie, prześwieca nieustanną nowością.

Skądże więc nowość owa? Nowość muzyki tej jest taka sama, jak wieczna nowość tej samej zawsze wody, nieba, ognia czy ziemi. Nowość owa to dusza wody, ziemi, to dusza świata, o której nic nie wiemy.

Nazywamy wiecznością tę rzecz niepojętą, jako że

nie niszczeje, świeżości nie traci i zasłonić nas może przed wszelakim dopustem wędrówki naszej ziemskiej.

Czym był Chopin?

Niespodziewana, nowa tajemnica ziemskiej wędrówki człowieka po tym świecie wieczystym.



ŻELAZOWA WOLA

NARODOWY INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA BIBLIOTEKA

Biury Stowarzyszenia

ŻELAZOWA WOLA

Zaczęło się dość dziwnie: pewnego jesiennego popołudnia przyjechał do Sochaczewa koleją człowiek, w którym od razu poznano Anglika. Po czym poznano, że to Anglik, nie wiadomo. Czy miał z sobą pled w kratkę, czy pachniał tytoniem angielskim, czy nic nie mówił, czy może miał za dobrze wyczyszczone trzewiki? Nie wiadomo. Wiadomo jednak, że domniemanym Anglikiem zaniepokoił się posterunek policji państwowej na kolejowym dworcu Sochaczewa.

I słusznie chyba! Bo co może robić w jesieni po południu w Sochaczewie człowiek wyglądający na Anglika?

Obcy przybysz nie zdradzał złych zamiarów, zdradzał jednak zamiary dość osobliwe. Rozejrzawszy się dookoła, jak zresztą każdy podróżnik przybywający nareszcie do miejsca przeznaczenia, zdjął nakrycie głowy i trzymając je w ręku ruszył w pewnym określonym kierunku.

Posterunek policji państwowej uznał, że Anglik, który maszeruje przez miasteczko i rozmokłe, jesienne pola z kapeluszem w ręku, nie może nie wzbudzać podejrzeń; zbliżył się tedy ów posterunek do wędrowca, zapytał, kim by był oraz co by zamierzał w tych stronach?

Obserwacja i intuicja nie zawiodły funkcjonariusza policji państwowej w Sochaczewie. Pielgrzym okazał się w samej rzeczy Anglikiem. Nikt nie dowiedział się nigdy z jakich to mianowicie słów czynnik miarodajny wywnioskował: czy stało się to dzięki istotnemu zrozumieniu wypowiedzianych przez obcego wyrazów, czy też właśnie dzięki niezrozumieniu mowy cudzoziemskiej.

Sprawę tę należy pozostawić tajnikom władzy, która jednak z tej odpowiedzi wywnioskowała, i tak zwierzchnictwu swemu meldowała, że obcy człowiek dąży w kierunku Żelazowej Woli i że czynność ta ma niejaki związek z Chopinem.

Czy słowo Chopin, użyte w tym spotkaniu, przyczyniło się do wyjaśnienia sprawy? Czy może właśnie ono napełniło niepokojem przedstawiciela władzy jako niezrozumiałe? Nie badajmy, skoro nie badał tego nawet sam mocodawca stróża porządku, to jest sochaczewski starosta.

Starosta sochaczewski otrzymawszy od podwładnego dokładny rysopis podróżnika i dowiedziawszy się, że Anglik zmierza przez rozmiękłe pola do Żelazowej Woli... Otóż to! Co w tej chwili uczynił starosta sochaczewski?

Znam tego wytrawnego dygnitarza. Przypuszczam, że z okien swego urzędu spojrzał na małe, niskie dachy miasteczka, na rozścielone za dachami szare, rozmokłe pola, następnie westchnął i rzekł: — Tego jeszcze brakowało.

Mógł też zawołać: — A mówiłem, że ta bomba kiedyś na koniec pęknie!

Albo wreszcie: — Niech sobie idzie, Anglik, nie Anglik, cóż ja mu na to poradzę.

Czytelnik może mi wziąć za złe, że znając osobiście owego dygnitarza wkładam mu w usta tylko trzy wersje wypowiedzi. Ośmieliłbym się pomyśleć jeszcze i o czwartej, również zupełnie możliwej, to jest, że dygnitarz zawołał:

— Niech go wszyscy diabli wezmą!

Anglik zaś idzie tymczasem w kierunku Żelazowej Woli. Podczas pielgrzymki tej rozmówił się widać z tubylcami, albowiem w miasteczku wszystko już wszystkim wiadomo: Anglik podąża pieszo do Żelazowej Woli, aby zobaczyć ziemię, wodę, niebo i dom, miejsce i rzeczy, wśród których przyszedł na świat taki muzyk jak Chopin.

Ziemia, woda i niebo! Alboż my wiemy, jakie one są tutaj? Nie wiemy, bo kochamy ziemię tę, wodę, niebo, chociażby szare, jak dnia tego w jesieni. Anglik zaś nic nikomu o tym nie powie. Znacie przecież Anglików i wiecie, jak bardzo są milkliwi. Jakże więc poznać czy w jego wyobraźni godzi się obraz tutejszego świata z muzyką, która z tego świata wynikła?

Czy mu się to układa harmonijnie, że tu droga prowadzi, a tu już trochę dalej zachwiała się i przetoczyła i z piaskiem u brzegu łąk zanikła. Czy mu się to układa, że tam drzewa, a tutaj chaty stoją słomą kryte, prowadzące ku wzgórzom jakimś, na które kiedy wejdziesz, rzeczkę w parowie dojrzysz szemrzącą i wy-

krętną, która się tu mozoli bardzo, choć przecież niczego nie opływa, niczego nie omija, bo za nią znów równina senna, jakby przyziemnym dymem zamroczona rozwlekłą kępą krzaków.

Ot taki widok, co się ani nie zaczął, ani się żadnym kształtem skończyć nie chce. Deszcz przez to wszystko mży, mgła się czepia, gdzie może.

Nie wiemy, czego mógłby się Anglik spodziewać po krajobrazie ojczystym Mistrza Fryderyka. Ci Anglicy! Któż może wyrozumieć sens muzyczny tych ludzi, którzy siedzą nad wodą wszędzie, na wszystkich przęsłach świata, a gdy im Chopin grał muzykę swej ziemi, to przecież, jak sam mówił, zachwycali się bardzo i powtarzali, że to właśnie przepływa — „like water".

Nie wchodząc tedy w myśli szanownego przybysza pozwalam sobie jedynie zauważyć, że to, co zastał w domu urodzenia Chopina, w Żelazowej Woli, w roku 1925, mogłoby świadczyć o naszej dumie narodowej, graniczącej już z utratą wszelakiego poczucia miary. Gdy bowiem zacny pielgrzym kończąc swoją wędrówkę przekroczył progi domku, w którym się Chopin był urodził, domek ów wyglądał tak osobliwie, że Anglik mógłby się był uważać za jednego z trzech królów wschodnich, gdy przekraczali próg stajenki betlejemskiej...

Ukochana prostoto: jedna część oficynki użyczona bydełku, kurki, świnki, krowiny chroni, w drugiej części rodzina właściciela przemieszkuje doraźnie.

Nie darmo przecież Anglicy wielkie okręty budują, cieśniny morskie dzierżą i na pstrągi haczyki sporządzają, jakich nikt nie potrafi. Prace te wymagają szczególnej dokładności. Odznaczał się nią i pielgrzym, stojący teraz w sieni między cichym popłochem królików a głośnym kwikiem świń. Chciał koniecznie dotrzeć do tej izdebki, w której Fryderyk na świat przyszedł. Niestety! Wedle posiadanych przez siebie planów dotarł tylko do muru, którym zamurowano dawną część zrujnowanych pomieszczeń.

Zostawmy tutaj naszego cudzoziemca. Tyle już drogi zrobił, niech jeszcze chwilę czeka. Wracajmy do starostwa. Dygnitarz władający starostwem uznał słusznie owego Anglika za ostatnią niejako kroplę, przepełniającą kielich goryczy, i postanowił działać.

A więc zaczęto działać, aby wykupić z prywatnych rąk poszopenowską oficynkę, aby ją odbudować, zasadzić obok ogród godny muzyki Mistrza i całą rzecz przekazać narodowi. Może od pani burmistrzowej, a może od pani naczelnikowej straży ogniowej uzyskano pianino. Wprowadzono ten instrument do odnośnej sali miasteczka i tu co prędzej przyjeżdżać jęli pianiści z Warszawy. Dalejże skarbami swej sztuki podniecać ofiarność mieszkańców; toż samo damy sochaczewskie delikatną ogładą, czułym uśmiechem na posiedzeniach w Żelazowej Woli. Każdy służył, czym umiał.

Artyści sztuką, panie dobrocią, starosta sochaczewski miłą znajomością prawa. Gdy tamci wygrywali swe zwiewne trele na białych i czarnych klawiszach, starosta sochaczewski zagrał na czarnych kobzach paragrafów, zdobiących białe stronice praw Rzeczypospolitej.

Oto wdał się w źródłowe rozmowy z szczęśliwym po-

siadaczem tej właśnie jedynej oficynki, która ocalała z wszystkich dawnych budowli pałacowych majątku Żelazowa Wola, a w której zmienną losów koleją w sto lat po rodzinie Chopinów zamieszkały kury, króliki i świnie.

Dzielny właściciel rodzinnego domku Chopina, gdy mu wytłumaczono... Ba, widzę go w tej chwili: siwa czupryna rozmierzwiona nad czołem, przeciętym pręgą czapki, którą człeczyna miętosi teraz w opiekłych dłoniach. Spod brwi krzaczastych kłują cieniutkim światłem siwe oczka, nie o wiele jaśniejsze od szorstkiego zarostu, co niby szron rozbłyska na zażywnych policzkach.

Dzielny właściciel, gdy mu wytłumaczono w jakich to godnych murach hoduje swoją trzódkę, odczuł serdecznie ich historyczną wartość, zaraz też słusznie wartość ową ocenił. Gdy mu władza zaofiarowała okrągłą sumkę za odstąpienie oficynki Chopina na własność narodu:

— Zawsze do usług — zawołał obywatel. I potrząsł czupryną i palcami grubymi zgrzytnął po swym zaroście i wymienił, dla podkreślenia ważności chwili, potężną sumę, za którą wielki majątek ziemski nabyć by można było.

Ucieszył się tak poważnej gotowości wielkorządca tamtejszych ziem, starosta sochaczewski. — Dziękuję bardzo — rzecze. — I już trzyma słuchawkę telefonu w ręku, ale jeszcze dodaje: — Masz pan słuszność. Bo cóż? Chociaż w murach tej oficynki wiatr gwizda i ziemi dokoła kawałeczek malutki, to jednak kawałeczek tej

ziemi stał się kolebką tonów, którymi świat rozbrzmiewa.

Co rzekłszy łączy się z urzędem podatkowym i rzecze urzędowi onemu: — Jest radosna nowina w powiecie!— I tłumaczy, jako że się w urzędzie dotychczas mylili i niewłaściwie podatek od owej drobniutkiej posiadłości wyceniali, tu bowiem sam właściciel do starostwa przybywszy deklaruje, że mu majątek urósł, pomnożył się cudownie. Należałoby więc stosownie do rozumnych obliczeń właściciela podwyższyć też podatek.

Sprawa nabrała całkiem innej powagi, nie narodowej i nie muzycznej, lecz hipotecznej. Streszczali ją, cyzelowali nie mniej chyba, niż Chopin muzykę swoją cyzelował. Wymiar podatku pomagał im, jak umiał, aż nareszcie komitet odbudowy Żelazowej Woli nabył tę oficynkę szopenowską.

Już nabywcy mogą słuchem swej duszy słyszeć kroki młodzieży, krążącej tu w przyszłości wszędzie od domostwa aż po zielone stare płoty, chylące się nad rzeczką. Już muzycy słyszą tutaj kantaty, które ułożą wkrótce na cześć otwarcia tego zbożnego miejsca. Już panie sochaczewskie widzą się tutaj w nowych sukniach, jak dygają przed panem wojewodą, który przybędzie chyba na uroczysty dzień otwarcia.

Próżna radość! Utracą ją, taka jest bowiem kolej wszystkich ziemskich rzeczy: kto zaczyna, ten nigdy niczego tutaj nie dokończy. Albowiem wszystkie sprawy muszą dążyć od dołu coraz wyżej i wyżej, najwyżej, jak gdyby miały skrzydła. Zawsze nadejdzie w takim obrocie rzeczy ta chwila, bardzo rzewna, że kto dziś tu za

orła starczył, jutro się wróblem stanie. Zawsze nadejdzie chwila, że gdy ktoś dziełu całe swe serce oddał, inne ważniejsze ręce zabiorą owe dzieło, aby je wyżej ponieść.

Tak się i teraz stało. Gdy sprawa domku i kawałeczka ziemi, na którym się urodził Chopin, zataczać jęła coraz szersze kręgi, cóż dziwnego, że wytoczyła się poza wielmożów sochaczewskich i kręgiem swym szerokim o stolicę oraz najwyższych dygnitarzy państwa zahaczyła?

Zostawiliśmy parę chwil temu wśród królików i kur, przed ścianą zamurowanej alkowy pani Chopinowej, dostojnego Anglika. By towarzyszyć dalszym losom sprawy, pozostawmyż starostę z Sochaczewa jak kładzie na widełki słuchawkę telefonu i jak wyciąga dłoń, by dobić targu z dotychczasowym posiedzicielem Żelazowej Woli.

Pośpieszajmy za sprawą. Ujął ją teraz w swoje ręce jeden z tych ludzi całego pokolenia wojowników, których niosły do walki o wolność skrzydła piękna, poezji i sztuki. Ów wielki żołnierz, minister i generał, inspektor armii, gdy raz ścisnął w swych palcach rozliczne wątki sprawy, wszystko się ułożyło i poszło jak po maśle.

Tam, w Żelazowej Woli, badacze już badają, gdzie co stało, gdzie było i że się wielki pałac hrabiowski spalił, w którym ojciec Fryderyka edukował młodych hrabiczów, i że się druga prawa oficyna spaliła podczas światowej wojny, a tylko ta została, lewa, gdzie się

Chopin urodził. I wśród sztychów szukają, i ryją w aktach, i jak, co i którędy co żywo ustalają.

A znów tutaj w stolicy przez banki, spółki, fundusze, syndykaty, zarządy i zakłady przeleciało nazwisko generała. Jakbym to widział! Można by się zadumać ze wzruszenia, może nawet popłakać: gdy ten generał w gwiazdach, orderach, w chrzęście wodzowskiej glorii jakby pod rękę ujął stęsknionego tak zawsze za Ojczyzną pana Fryderyka i jakby mu powiedział:

— Przejdziemy się raz jeden po tej twojej Warszawie, która cię od stu lat gra co dzień w każdym domu, i wszystko załatwimy, co się wyda potrzebne, aby odbudowano miejsca twojego dzieciństwa. Odbudujemy pięknie i pozostaniesz sobie tam na zawsze, jak gdyś tam żył chłopaczkiem małym będąc.

Naturalnie, że tylko papier odnośny o Chopinie z podpisem generała przewinął się przez biura. Ale dla wszystkich, którzy kochają urojenia, nie papier to, lecz jakby oni we dwóch udali się do miasta, wielki muzyk i żołnierz.

— Proszę wejść — woła dyrektor banku. A oni wchodzą, wielki żołnierz z tym drobnym cieniem ukochanym.

Pan dyrektor zerwał się od ogromnego biura. Sto guzików od stu kas patrzy metalowym blaskiem jak pan dyrektor rękę ofiarnie wyciąga. Wszystko tak wyciągnęło teraz ręce: syndykaty żelaznych hut, cegielnie, zarządy spółek drzewnych, zakłady ogrodnicze, fabryki, przedsiębiorstwa.

Ci cegłę, tamci cement, ci żelazo, ci drzewka, tamci

wątek roślinny, ci wapno, cynk, ci rury. Walą, zwożą ciężaru tego, materiału, bo ileż go potrzeba na kolebkę nieuchwytnego ducha?! Nikt nie zdoła przewidzieć.

Generał załadował najważniejszych ofiarodawców i działaczy tej sprawy na samochody i zwiózł do Żelazowej Woli, i zasiadł z nimi radzić w oficynce Chopina. Trzymał ich tam i gnębił do wieczora aż wszystko rozplanował: że będzie tak i tak, tu szosa, tędy dojazd. Oficynka tak odtworzona, jak to dowodnie widać na starych planach, i gdzie ogród warzywny, a gdzie ogród właściwy, poetycki.

Zarządził, wsiadł do auta, maszyna furkła, jedzie.

Mrok zapada; na niebie resztki zachodu płoną rumieńcem już gasnącym. Z drzew, z ziemi, zagród, płotów wyrasta nocny cień. W onym cieniu mknie auto, niby świetlisty żuk, w onym żuku siedzi sobie generał i marzy, że wyrwał się bodaj na chwilę z swych dywizyj, transportów, dział, tanków, samolotów i — że gdy dla Ojczyzny z polonezów, mazurków wynikło po stu latach wielkie zwycięstwo zbrojne, teraz zwycięzcy odpłacają poezji onej hołubiąc ją w krzewach, roślinach, wśród piękna drzew i w oderwaniu od spraw świata! W tym oderwaniu, jakie zstępuje zawsze na człowieka, gdy dąb szumi, kwitnie młoda roślina, pszczoła kwiaty lustruje a wróbel skacze po zarośniętej ścieżce.

Niechże generał wraca do spraw swego dowództwa, zostawmy go na szosie w mknącym przez noc ogromną samochodzie, a sami podążajmyż za sprawą Żelazowej Woli.

Co się też tam wydziwia teraz znowu?

Teraz wielka nauka przyszła tutaj do głosu, nauka wielka o parkownictwie. Gdy nauka, to już ty sobie nie myśl, prosty widoku ziemi, że tyle w tobie sensu, ile właśnie widoku. I że to wam tak będzie wolno rosnąć bez głębszego znaczenia po swojemu, bzowemu, jaśminowemu od początku do końca krzewom, krzakom i drzewom. A trawom szumieć, bez myśli co szum znaczy i co musi wyrażać! A ścieżce spadać na dół, gdy górka na dół spada, wstępować zaś pod górę, kiedy się górka wznosi!

Gdy nauka, to wszystko rozumu tu nabierze, znaczenia podwójnego, potrójnego i już będzie wiedziało po najdalsze czasy, jak się ma zachowywać.

Więc pan profesor przepytał swoją wiedzą wszystko co tutaj rosło. Maki, bławatki, perz, kąkole, głóg, mietliczki, mlecz, szczaw, owsik, zbłąkane kłosy żyta. Nie! Nie nadało się to. Nadały się rośliny inne, rzadkie, uczone, które się na muzyce znają i umieją potrzebny hołd okazać. I drzewom przykazał pan profesor: które fanfarą dźwięczeć będą, a które marszem uroczystym mają wiać, a które mają milczeć, a które znowu służyć do pogłębienia perspektywy, aby się oku tutaj nie nudziło.

Gdy to sprawił, wytłumaczył co nieco jeszcze okolicznym pagórkom, przykazał, które będą malownicze, a które wcale nie; ścieżki opadające samowolnie od razu wziął w falbany z betonu i zabrał się do altan, które, jako z cementu, postawił już na wieki. Trudzili się, silili — fort zbudowali, który na moje oko, żołnierza

z wielkiej wojny, obsadzić batalionem piechoty, wytrzyma uderzenie brygady!

Ale co tam! Niech betonowe bele krzepną i niech się wzmacnia cegła jeszcze więcej, dążmy za sprawą Żelazowej Woli, teraz już wszyscy razem. Niechże pozwoli z nami pan Anglik. Oficynka już odnowiona, można wejść do alkowy matki pana Chopina; poprosimy pana posterunkowego ze stacji sochaczewskiej, który wcześniej czy później dostanie przecież krzyż zasługi. I niech z nami pozwoli starosta z Sochaczewa, i wielki żołnierz, i panie z komitetu, i pan profesor, i wszyscy dyrektorzy cegielń, betonów, syndykatów, i ci wszyscy, którzy, choć pokoje tej szopenowskiej oficynki jeszcze nie są gotowe, już tu przyszli ze wstęgami — patrzcie, wstęgi wiszą w dawnej bawialni na sznurku w kącie i chwieją się na wietrze.

Szukamy cię, Chopinie, tutaj. Czyś jest zadowolony? Szukamy cię, czekamy i wołamy. Tyleśmy się napracowali. Anglik woła, generał, starosta, panie komitetowe.

Nie słychać odpowiedzi.

Czekajmy. Może gdy się obruszą nieco murowane altany a pergole osiądą, gdy zuchwała roślinność zepsuje już gdzieniegdzie uczony ład, gdy z zapomnianych krzaków wybuchnie nagle bez, a dziki jaśmin zabieli się pod płotem i gdy ścieżki odetchną choć trochę spod kamiennych falbanek...

Zaczekajmy cierpliwie. Jeszcze jesień i jeszcze jedno lato. I jeszcze wiosna... Jedna, druga i któraż wreszcie? Już nas nie ma. Jużeśmy przeminęli, już tylko cieniem jesteśmy jak cienie drzew. Później zaś mniejszym,

a wreszcie tylko takim, jaki zdoła rzucić na grządkę rezeda. I już nas wcale nie ma. I już cieniem być nie zdołamy nawet, i już w niczym nie ma naszego głosu, i nikt nas nie pamięta.

Ale ty, Fryderyku? Jesteś tutaj, byłeś i będziesz w nieodgadnionej mocy trwał wszędzie, zawsze, na każdym miejscu tej zwykłej, bliskiej ziemi, gdzie szumi dąb, kwitną kąkole, pszczoła kwiaty lustruje a wróbel skacze po zapuszczonej ścieżce.



ŻYCIE CHOPINA

WSTĘP

Biografia Chopina dźwięczy we wszystkich krajach i częściach kuli ziemskiej, na wyspach i po morzach, wszędzie, gdzie ludzie sztukę uznają i kochają. Sam ją był napisał Fryderyk, tę biografię swoją, naznaczając poszczególne jej rozdziały porządkową liczbą dzieł od 1 do 65. To jest ta biografia Chopina, która falą ożywczą spłynęła w nieogarnione morze kultury świata. W onym morzu nurtuje wciąż przynosząc wszystko znane i nieznane, wiadome i tajemne, co spotkał był na swojej drodze ten geniusz.

Wszystko, co pamiętał i zapomniał, co wiedział i co tylko przeczuwał, co spełnił i czego nigdy nie wykonał, to wszystko gra w dźwięcznej fali szopenowskiej, która przepływa przez serce ludzkości już od stu lat niecąc szczytną wiarę w wieczystość uczucia ludzkiego na tej ziemi.

Opis życia Chopina może być zaledwie cieniem tamtej wielkiej biografii. Opis życia będzie zaledwie cieniem dzieła. Czy warto, gdy dzieło po całym świecie brzmi, gdy z tego dzieła powstaje wciąż nowa nauka i wciąż nowe olśnienie, i coraz większa wdzięczność, czy warto ku znikomemu cieniowi powracać?

Przecież sam Chopin krył swoje życie przed szanowną gawiedzią ówczesnej współczesności. O dziele wła-

snym mową słownych pojęć nie mówił nigdy, a do najbliższych nawet przyjaciół nie pisał prawie wcale. Pomykał nad szczegółem osobistego istnienia, jakby to istnienie podobne było do wszelkiego innego: liść, który lśnił i szumiał a oto spadł i już nie zalśni więcej.

Zbywał te sprawy żartem. I zdziałał w rzeczy samej, że gdy inni, tejże miary co on, jak Beethoven, Schumann, Wagner, foliałami wyznań, proroctw, rozważań muzykę swoją popierali, on cóż o swej muzyce raczył był pisać współczesnym i potomnym? Tyle, ile się skarżył na mitręgę nad papierem nutowym, pracę swą określając słowami *nudy pisane*, ile się o swoje kompozycje targował z wydawcami w funtach, frankach czy też talarach? Tymi to sposobami dyskrecji i ironii osiągnął, że gdy o innych mistrzach lęgną się po bibliotekach całe półki, o nim cicho nieomal.

Tylko muzyka dźwięczy coraz żywiej. Badają ją, chcą się dopatrzyć, w czym właśnie szopenowska? Szukają w niej, niby w różnych głębinach tego samego oceanu, i w końcu przepytawszy wszystkie harmonie, nie wiedzą dlaczego szopenowska?

Ale gdy zaczną grać, by ją uchwycić żywą, już się znowu oczarowali i znowu na te głębie spłynęli, w których już nie wiadomo, czy noc światłością, czy światłość ciemnością się wykłada?

Dlaczegożeśmy więc ciekawi opisu zdarzeń życiowych tego geniusza? Czy nie dlatego znikomy cień dzieła wieczystego pociąga nas tak wielce, że pragnęlibyśmy ogarnąć go naszą ludzką czułością: chcemy znaleźć pociechę w zwykłości naszej powszedniej. Pragniemy przypominać sobie, że chociaż geniusz, człowiekiem także był, jak my.

Dawał o wiele więcej, ileż więcej niżeli jedno życie. Chcemy mniej, skromniej, tyle tylko, ile unieść zdołamy. Pragniemy ułożyć się z wielkością: gdyś grał, w wieczności grałeś, ale nasze powszednie serce chce cię dla siebie mieć zwykłego, znikomego, z ciała i krwi, jak samo jest, tylko z ciała i krwi.

Racz się zniżyć, przykroić do naszej zwykłej miary, byśmy cię mogli zamknąć w zwyczajnym sercu ludzkim. Cieniu kochany, znikomy, jak ja, jako nabliżsi moi, jak my wszyscy i jak to wszystko, co kochamy na ziemi! Odłóż wieniec grającej swej nieśmiertelności i trwaj z nami wszystkimi, abyśmy mogli mówić do ciebie, wołać i krzepić się wołaniem tym:

Widzisz, widzisz! Żyłeś jak my. Tak samo jak my wszyscy! Życie jest zawsze jedno.

DZIECIŃSTWO SIELSKIE, ANIELSKIE *

Gdy ma człowiek opanować dar słowa, od pierwszego dzieciństwa pamięci obracają się w nim słowa, mnożą, płoszą i cieszą nieustannie. Gdy ma zawładnąć darem muzyki, tak samo dźwięki mnożą się, stroją i cieszą. A on nie wie nic jeszcze o tym. Nie wie, że to owo strojenie przesyca wszystkie inne wydarzenia, odrywa je od ich rzekomej wagi, niesie gdzie indziej, iż nie mogą spokojnie trwać tu na świecie, ale się wciąż nurzają w innym jakimś żywiole, dziwnym, radosnym, płochym.

Więc dziecko takie żyje jakby pośród obdarowania, uroczystości! W tonach uroczystości tej wszystko ziemskie nabiera beztroski, prawdy niewinnej a bezwzględnej, powiedziałbym — prawdy jeszcze żywszej niż samo dzieciństwo. Bo to są dwa dzieciństwa: ludzkie w życiu i drugie, już jasnowidzące, w przyszłym powołaniu.

* W pracy tej posługiwałem się znaną powszechnie literaturą naszych i obcych badaczów, dotyczącą Chopina. Uważam za swój miły obowiązek wyróżnienie spośród tej literatury dzieł Ferdynanda Hoesicka. Poświęcone Chopinowi dzieła i przyczynki Hoesicka, nacechowane żarliwą miłością tematu, a zarazem wzorową sumiennością, pomogły mi znakomicie i przy usiłowaniach zrozumienia epoki szopenowskiej jak i próbach systematycznego ujęcia postaci Mistrza.

Takim dwukrotnym dzieciństwem żył Chopin w Żelazowej Woli i w Warszawie, w domu u swych rodziców kochanych, i w liceum, i w każdej zabawie rówieśników. Nikt nie wspomina szczegółowo, jak się stało, że nagle dotknął klawiatury i wszystko, nad czym pracowali starzy Grecy, nad czym trudził się papież Grzegorz Wielki systemy tonów budując, że wszystko, co układali trubadurzy i muzyczni scholastycy niderlandzcy, Chopin pojął od razu. Jak się stał taki cud, że gdy klawiatury dotknął, całą harmonię zgłębił?

Pani Justyna Chopinowa grała na fortepianie, śpiewała pono także niezgorzej. Ojciec, pan Mikołaj Chopin, preceptor języka francuskiego i manier dobrych i w ogóle dobrego tonu towarzyskiego (jako że przybył z Francji), grał biegle na flecie i na skrzypcach.

Muzykowano więc w tym domu i przez słuch chłopaczka przesączyła się nieraz bialutka gama fletu, anielski syk skrzypiec, czy metalostrunny dźwięk ówczesnego fortepianu, czy śpiew korygowany jakąś tam ówczesną metodą emisji włosko-polską. Musiał to był w domu nieraz słyszeć Fryderyk i to były jego pierwsze wzory muzyki ukształconej.

Prócz tych wzorów jednak trwała nad nim powszędy, jako że w Żelazowej Woli, tedy w Polsce, wśród ludu tego szczególniejsza pogoda śpiewna, z krzywdy i z wesołości dziwnie pleciona, która życie tej ziemi przesyca. Aura jakaś, na którą człowiek się składa i ptak, i zwierzę, i głos sprzężaju, stęk drzewa, cios żelaza i sam oddech całego żywiołu ojczystego.

Słyszał to był Fryderyk, jak inni usłyszeć by nie mo-

gli nigdy. Napawał się tym i nasycał i to były zapewne owe pierwsze dźwięki, które się mnożą, stroją i cieszą w człowieku, mającym władać czarem muzyki.

Ale od tego do tego, by położył był ręce na klawiaturze paroletnim chłopaczkiem będąc i aby te ruchome, kością wykładane stopnie harmonii otwarły dziecku od razu wszystką swą myśl i wszelkie możliwości?... Aby gdy ton jeden uderzony, wszystkie do słuchu dziecka przybiegły i zwierzyły od razu jak się łączą, jak wiążą, którędy dokąd prowadzą a którędy chodzić z nimi nie można, i aby jeszcze od razu ukazały tysiące pięknych miejsc, w których nikt nie był dotąd, choć przecież miejsca te od wieków na próżno czekają pomiędzy klawiszami?!

Jak się stało mówiąc po prostu, że gdy palce na klawiszach położył, zrozumiał wszystko, co jest w zakresie harmonii?!

Nastaję na tę chwilę, gdyż musiało się to było dziać i stawać jakoś, a cóż bardziej tajemniczego? Jeden, dwa palce na klawiaturze, trzy, dwa jednej ręki i drugiej, i wszystko jest wiadome, i czteroletni człowieczek przemienia klawiaturę w morze pełne nowości brzmienia. Dziś, wczoraj, jutro przybiegł, spróbował — zadźwięczało, wybrał, złożył, rozłożył — tony prysły, sprzęgły się mocniej, ściślej, wyskoczyły z osi porządku swego, sprzęgły nowy, nie znany dotąd, a on, chłopczyna, płynie radością swą pomiędzy nimi i ma je pod palcami jak jezioro, jak rzekę bez końca i bez końca — to nie rzeka, to chyba morze całe!

Musiało się to było stawać samo z siebie, dziś, wczoraj, jutro, w przebiegu dni powszednich. Że nic... Że w kuchni oficynki, gdzie Chopinowie mieszkali obok pałacu pana hrabiego Skarbka, właśnie pani Justyna Chopinowa biła jajka na omlet, czy że gdzieś obok siostra Fryderyka do lalki się śmiała, czy że przed oficynę wózek zajechał po coś tam z Bartkiem jakimś czy Wojtkiem, coś brać czy też zawozić. Albo nic, tylko kura samotnie szła przed domem cichutko skrzecząc, albo z daleka wybuchły nagle wielkie gulgoty indyków, albo też kobieciny pełły daleko za klombem i wołały do siebie przez słońce i szum drzew.

Oto chwila tajemna, w zaczątku swym znikoma, w wyniku wieczna, najprościej przeplecione natchnienie z powszedniością. Jakże jej tedy miał nie pamiętać, nie kochać, nie rozumieć, gdy mu świadczyła w pierwszych wniebowstąpieniach muzycznych?! Na wieki zapamiętał, do śmierci marzył o owym pierwszym otoczeniu, o pierwszej aurze swego geniuszu: żeby było jak w Żelazowej Woli, jak w latach dzieciństwa w Warszawie.

Nie mógł był przecież wiedzieć, czy dlatego, że słyszy t a k, jest wszystko tak jak jest? Czy też dlatego, że wszystko t a k i e, on słyszy coraz pełniej? Tych spraw przeniknąć nie mógł, ale szczęście, że się odnalazł w morzu swego doznania muzycznego, dawało mu radosną pogodę oraz ostrość niezawodną w przenikaniu rzeczy, ludzi i świata.

Wszystko widział na ziemi utwierdzone, związane, gdy sam w swoich dźwięczących zaświatach przebywać mógł jak chciał. A cóż tutaj na ziemi, gdy zawsze

uciec można z małej wyspy ziemskiej do swego morza tajemnego? Tu na ziemi wszystko niewinne i wszystko ukochane, i tylko cieszyć może.

Wystarczy wspomnieć, co pisał mały Szopenek w swym dzienniczku, redagowanym w Szafarni pod pseudonimem Pichon (Chopin), by dostrzec jakimi to oczami klasycznej wesołości w koło siebie spozierał:

Wczoraj w nocy kot zakradłszy się do garderoby stłukł butelkę z sokiem; lecz jak z jednej strony wart szubienicy, tak z drugiej zasługuje na pochwałę, bo sobie najmniejszą butelkę wybrał.

Dnia 12 b. m. kura okulawiała a kaczor w pojedynku z gęsią nogę utracił. Krowa tak gwałtownie zachorowała, że aż się w ogrodzie pasie.

Dnia 14 b. m. wypadł wyrok, ażeby pod karą śmierci żadne prosię nie ważyło się wchodzić do ogrodu.

Dnia 25. Kaczor wyszedłszy po kryjomu bardzo z rana z kurnika utopił się. Dotąd jeszcze nie można dojść przyczyny owego samobójstwa, familia nie chce gadać bowiem. Krowa daleko zdrowsza i nikt nie wątpi o jej zupełnym wyzdrowieniu.

W Bocheńcu zjadł lis dwóch bezbronnych gąsiorów. Kto by go złapał, niech raczy uwiadomić sąd bocheniecki, który niezawodnie podług praw i przepisów zbrodniarza ukaże. Oddawcy zaś lisa owe dwa gąsiory, jako godne wynagrodzenie, odstąpione będą.

Krowa ma się coraz lepiej, a na generalnym konsylium doktorowie osądzili, że już najmniejszego niebezpieczeństwa nie ma.

I jeszcze raz ostatnia wiadomość o krowie:

Krowa ma się bez porównania lepiej: już przyjmuje wizyty, a niedługo to może i sama oddawać będzie.

Czyż w tym widzeniu radosnym, bezlitosnym, w tym podpatrzeniu doskonałym wiele brakuje z klasycznej mądrości Szekspira, Balzaka, Mickiewicza?

Mógł sobie podpatrywać, bo na ziemską wysepkę Żelazowej Woli i Warszawy, i Polski z morza swych tonów się wyłaniał, bo nie tu, a tam kotwica jego zarzucona! Tam się utwierdzał w tajemnicy, a tu wszystko przenikał tylko, jak mu się podobało, szczerą, dziecinną, bezlitosną radością.

Taki to chłopiec osobliwy, a zarazem gwiazda muzyczna, trzebaż, żeby się uczyć zaczął porządnie. Więc oto gwiazda taka dostaje się w Warszawie — Ojczyzno moja, chyba ty jedna, splotem przypadków prostackich a czarownych, sztuki takiej dokonać mogłaś — panu preceptorowi fortepianu Wojciechowi Żywnemu.

Gwiazda w łapach niedźwiedzia!

Cóż za jeden ten niedźwiedź? Piszą o nim w historii muzyki, jakoby sławę swoją z tego jedynie brał, że Chopina gry fortepianowej uczył. Ja zaś powiedziałbym, że Wojciecha Żywnego sława zaszczytna pochodzi stąd, iż wcale Chopina nie uczył. Mógł uczyć, lecz nie uczył.

Stary poczciwiec, naonczas lat przeszło siedemdziesiąt mający, lepsze sposoby posiadał na swego wychowanka, niż uczenie. Pierwszy z owych sposobów ważnych, to że się chwalił pan Żywny, iż gdzieś na licytacji w Warszawie nabył kilka par cennych spodni po królu Stanisławie Auguście i z spodni tych, zapewne atłasowych (a może w kwiaty), kazał sobie porobić te właśnie kamizelki, w których do Fryderyka na lekcje przychodził.

— Patrzże, synku, jak świat jest niezbadany, ogromny! Co samemu królowi posterior kryło, to biednemu muzykusowi żołądek ogrzać raczy!

Oto sposób uczenia jeden. A oto drugi, wielce ważny, że ten pan Żywny nad wyraz chętnie grał ze swym uczniem w karty. Grali sobie we dwóch i — nie tam żadne gamy czy pasaże, ale kara i piki, trefle, czerwienie, no i co im kto zrobi?!

A jeszcze inny z doskonałych sposobów pedagogicznych pana preceptora, to że o kościuszkowskich czasach opowiadał albo o zmroku różne odległe a wielkie wydarzenia z historii Polski wysnuwać umiał, które to właśnie dzieje młody Chopin zaraz potem swemu mistrzowi na klawiszach wygrywał, ten zaś z rozrzewnieniem — talent ucznia podziwiał.

Podziękujmyż staremu: kamizelkami z królewskich spodni przerobionymi imponował, kolację lubił zjeść u państwa Chopin, jeżeli po południu lekcja, to nie bez tego chyba, że ucznia o kawinę z kożuszkiem do kredensu posyłał, nagwarzył i nabzdurzył, nieraz też może chrapnął sobie solennie, gdy „dziejowe wypadki" wra-

cały pod palcami chłopaczka przez klawisze domowego „pantalionu".

Podziwiał talent ucznia.

Nie on jeden. Podziwiali już wszyscy! Gdy Fryderyk miał osiem lat, wykonał z powodzeniem ogromnym koncert fortepianowy Gyrowetza. Czyli że z niebywałą wprawą, prędko, wypełnił czystym ziarenkiem tonów owoczesną miarę doskonałości fortepianowej. Gdy doszedł lat czternastu, już był publicznie wykonał ku zachwyceniu wszystkich koncert Kalkbrennera, ówczesnego Paganiniego fortepianu.

Czyli, gdyby tę sprawę przemienić na biblijne stosunki, jako czternastoletni chłopiec przeszedł przez ucho igielne.

Nie słyszymy i nigdzie o tym nie czytamy, by ćwiczył, bębnił, sztudyrował na fortepianie jak musieli i muszą najwięksi, jak musiał nawet Liszt, jak musiał Beethoven, szukający fortepianowej otuchy pod koniec życia u Czernego, jak musiał ćwiczyć Schumann, Brahms czy inni, choćby najwięksi mistrze fortepianu.

Stare niedźwiedzisko, Żywny, miał słuszność, gdy o kamizelkach opowiadał, w karty grał i tylko „podziwiał talent ucznia". Albowiem chłopaczyna ów to była gwiazda, jakiej od Bacha i Mozarta na świecie nie bywało. Jeżeli mając lat osiemnaście już był ukończył swój pierwszy koncert fortepianowy f-moll, czyli objawienie nowej techniki fortepianu, nie prześcignione po dzień dzisiejszy, to przecież ta nowa technika nie wybuchła od razu, jeno się plotła przedtem po palcach Chopina i już od lat wzbierała, i sam ją, uczeń ten, do-

świadczał, doskonalił, nie bębnieniem, lecz jakimś własnym osobliwszym wyczuciem.

Była zatem nie tylko w samym usposobieniu muzycznym, lecz i w palcach tego chłopca przedziwna jakaś mądrość własna, wytyczona tak świetnie, że nigdy bogactwo ręki bogactwa duszy nie ośmieliło się przesłonić.

Podziwu godna rzecz, że dary takie w chłopcu umieszczone nie odebrały rodzicom równowagi w wychowywaniu Fryderyka. Szło dobrze naprzód. W matce, pani Justynie, znachodził zawsze niewysłowione szczęście syna, a pan Mikołaj miarę i piękno języka francuskiego w Warszawie wykładając tyle okazał słusznego spokoju, że się do talentów syna nie mieszał.

Musiał być dom Chopinów, w te czasy zbytku tak skromny przecie (stancja dla chłopców z lepszych rodzin), domem wdzięcznym, pełnym porządku, pobłażania i wesołości. A tu tymczasem młody Fryderyk przyciągał był talentem swym świat coraz wyższy. Piękne granie chłopca sławne już było w całym mieście, sławą we wszystkich salonach już dźwięczało.

Salony i salony, i aż sam dwór! Do syna księcia Konstantego, Pawła, wzywany był Fryderyk co niedzielę i w Belwederze popołudnia spędzał na zabawie, muzyce.

Na zabawie, muzyce, u księcia Konstantego — młody chłopaczek Chopin... Czy wiesz, chłopcze, że tu przebywasz w czarnym gnieździe niewoli?! Twoje młodziutkie kroki prowadzi poprzez pokoje belwederskie gwiazda twoja, muzyka. Chłopaczku nasz jedyny!

Wyjdziesz stąd w świat prorokiem, a za sto lat muzyką swą powitasz męża odnowiciela, który przybędzie tutaj z pola bitew zwycięskich.

Ty — wieczne echo Polski, a on — Józef Piłsudski.



„Ideał, któremu nie mówiąc z nim już pół roku służę, który mi się po nocach śni, na którego pamiątkę skomponowałem adagio do mojego koncertu"...

Do koncertu f-moll, jedno z najpiękniejszych adagio jakie zostały napisane, jedno z tych westchnień muzyki, od których dusza truchleje.

Poznali się na popisie Konserwatorium, w domu narożnym przy Krakowskim Przedmieściu i Placu Zamkowym. Widać stąd wieżę Zamku Królewskiego i kolumnę Zygmunta, nad nią niebo niebieskie, bezmiernie wysoko uniesione, ileż bowiem niebo wyżej nad nami polata, gdyśmy młodzi!

Niebo to rzeka odbija, ileż jaśniejsza, gdy w życie dopiero wstępujemy. Rzeka w piaskach, wiklinach płynąca, za nimi domki Pragi — widać stąd jak na dłoni wszystko i że też panna Konstancja, młoda śpiewaczka, córka burgrabiego Gładkowskiego, nie może dojrzeć, że jej Chopin swe serce przynosi każdym spojrzeniem, każdym gestem, jak na dłoni!

Bo im się zdaje, tym wszystkim młodym, jako zawsze w muzycznych szkołach z wiosną, gdy klasy swoje kończą, że to muzyka wzywa ich i powołuje, a nie wiedzą, ile w nich jest muzyki, ile zaś ich młodości, która w powabie sztuki woła, że już czas kochać.

Wybranki innych wielkich poetów, mistrzów, rozsławione już dawno, a o tobie, panno Konstancjo, cicho jeszcze na świecie. Z wielką to krzywdą uroczych twoich zasług, bożeś to ty sprawiła przezierając się w toniach natchnienia Fryderyka, że się wzburzyły rozgłosem namiętności głębokiej.

Konserwatorium na rogu placu Zamkowego w Warszawie: pozostańcie tu jeszcze przy oknie. W całym gmachu stroją się instrumenty—miłość wasza się stroi. Na wszystkich piętrach śpiew i dźwięczne granie, ów śpiew i granie to tylko wasza miłość!

Wiemy już o was wszystko do samego końca, lecz wy dziś czasu swego znać jeszcze nie możecie. Rozmawiaj z nią w framudze tego okna, Fryderyku, wszystko inne, co dookoła widzisz, jest niczym, wszystko, co słyszysz, niczym. Twoja Konstancja wszystkim!

Twoja Konstancja, drżąca w całym twym ciele, brzmienie nowej harmonii w porywie twego tajemniczego słuchu wiezie cię łodzią jedyną, uczynioną ze szczęścia, w głąb oceanu muzyki. Nawet ten stary mur wzdłuż okna, przy którym stoisz z nią, chociaż widzisz jak gruby jest i stary, i chropowaty, i jak dosadnie rzeczywisty — to tylko przywidzenie. Patrz na nią, ciągle na nią, na Konstancję, czyste niebo i jasna woda to wielkie ramy twej panienki jedynej.

Pośpiesza was wasz ludzki czas działania, zdobywania, lecz nie odchodźcie, stójcie! Czas zawsze z wami, czas zawsze za was zdąży! Ile teraz w przycichłych

waszych słowach nadziei, tyle nie spełni nigdy... Ile w piersiach radości, tyle nie odda nigdy.

A wam się śpieszy zdobywać, działać, tworzyć. Jużeś był w świat wyskoczył, Fryderyku, do Wiednia.

We wtorek o godzinie siódmej na teatrze cesarsko - królewskim na świat wystąpiłem — tak był zapisał 11/VIII 1829 roku. W mieście wielkiej tradycji Beethovena, Schuberta, sala teatru cesarsko - królewskiego radością wybuchła i samże dzięcioł fortepianu najpilniejszy, Karol Czerny, pokumał się z pianistą polskim, którego palce spadały na klawisze rosą nowego dnia muzyki.

Jużeś był w świat wyskoczył, Fryderyku, i już ci świat, ten wielki, inny, nowy, nie polski, zagraniczny, europejski, co tam europejski! Jeszcze większy i inny, bezdomny świat światowy nigdy nie da spokoju, choć będziesz tęsknił i rozpaczał za swoją wyspą polską całe życie...

Już chcesz wyjeżdżać znowu, by *zwiedzać obce kraje* i tam swą sztukę doskonalić, ale to jest nie to, bo cóż doskonalszego od twojej sztuki w tych latach napisanej? Już cię porywa, już cię wygania stąd tajemny duch obcości, głos twego oceanu, z którego czerpiąc nigdy swej duszy do dna nie wyczerpiesz.

Wam się śpieszy zdobywać świat. Konstancja śliczna, jasnowłosa, o szafirowych oczach, już debiutuje w operze „Agnès" kompozytora Paera. Już ją chcą porwać młodemu muzykowi, tę jego muzę piękną — los jest srogi, śpiewaczka czarująca, a cóż słaby artysta?

Po jej występie oficerowie wtargnęli za kulisy i czynili możliwe wysiłki, by sobie zjednać uroczą śpiewaczkę — *a tyś z nich drwiła* — pisze młodziutki Chopin w swoim pamiętniku — *bom ja tam był!*

Bom ja tam był... Ja, twój chłopiec, najlepszy w całym mieście fortepianista, Fryderyk Chopin. Oni mundury, blask, odznaki i oręże, siła, bary, ramiona, żar!

Tyś z nich drwiła, bom ja tam był!

Wam się śpieszy zdobywać świat, Konstancjo. Nim na wspólnym, ostatnim koncercie pożegnalnym odśpiewasz wielką arię, odziana biało z różami na głowie, do twarzy prześlicznie ubranej — patrz na niego, bo go nie ujrzysz więcej! Patrz na niego, patrz, oto jest ten chłopiec, w którego tony przystrojona krążyć będziesz westchnieniem muzyki nieśmiertelnej po całym, całym świecie, i już zostaniesz w tonach owych na zawsze, i mało kto spamięta, żeś z innym życie przeszła. Żeś się dopiero z pamiętników, u schyłku lat, już ślepa, przewiedziała, jak cię kochał ogromnie, i że wspomnienie jego było ci już nad grobem — jak powie w skromnej kontemplacji pamiętnikarz — *niewysłowioną przyjemnością.*

Uśmiechaj się tu we framudze okna, niech cię widzi, niech kwitnie w blasku twego spojrzenia. Tu, w spotkaniu z tym chłopcem, na wieki trwasz, tu sława twej piękności, nieśmiertelna dziewczyno, a kiedy mu napiszesz na pożegnanie — „mogą cię obcy lepiej nagrodzić, ocenić, lecz od nas kochać mocniej pewnie cię nie mogą" — napisałaś z miłości swej wysnute wszystko, co o nim, o nas i o świecie nie zmienione zostanie.

Chce jechać, nie chce jechać?...

Myślę, że opuszczam Warszawę po to, żebym nigdy już nie wrócił do domu. Wychodzę z domu, idę na ulicę, tęsknię i wracam do domu? Po co? Po to, żeby znowu tęsknić.

Prawda to, czy nieprawda? Jedno i drugie razem. Kochana wyspa przykuwa jakże silnie, ocean wzywa mocniej!

Pociecha dla was, chłopcy, którzy ruszacie w świat z tym, że wam odmówiono pomocy. Jazda o własnych siłach! Jemu też, gdy się udał o pomoc na wojaż zagraniczny, odmówił rząd ówczesny.

Chopin ruszył o własnych siłach dwoma skrzydłami wzlotu rozgarnąwszy powietrze.

Skrzydła te, dwa koncerty fortepianowe, stworzone wówczas i odegrane w Warszawie, jak przystało dla harmonii obrazu, pośród dwóch zwalczających się obozów muzykalnych, Elsnera i Kurpińskiego, koncerty pożegnane wybornie przez jakiegoś lubownika muzyki, który przekrzyczał wielki entuzjazm sali wołając do Chopina: — Ej, zmiłuj się, jeszcze przed odjazdem daj choć jeden koncert!

Już nie, już nie, już ruszył w drogę dla „zwiedzenia obcych krajów". Żegnają się na Woli: otóż to jest ta wyspa polska: szare drogi, przysiadłe domy i drzewa szumiące ku oddalom. Koledzy śpiewają kantatę pożegnalną, stoją w około tenory pierwsze, drugie, barytony i basy. Poczta czeka, śpiew się unosi w górę, Fryderyk ściska dłonie, śmieją się jeszcze raz do siebie wszyscy...

Cóż to opiewasz tym śpiewem, młodości beztroskliwa? Chciał tu żyć, lecz odjeżdża, opuszcza co ukochał, znane oddaje na zawsze za nieznane. Świat bezdomny, światowy ogarnia Fryderyka i wyprowadza, i oto jadą we dwóch: Chopin i świat bezdomny, by zwiedzać obce kraje.

Na brzegu krajów owych stało się, co się już później nigdy nie odstanie: *O Boże jesteś Ty* — pisze Chopin w pamiętniku swoim w Sztutgarcie dowiadując się o walkach Powstania — *jesteś i nie mścisz się! Czy jeszcze ci nie dość zbrodni moskiewskich, albo, alboś sam Moskal! Móy biedny oyciec, Móy poczciwiec może głodny nie ma za co matce chleba kupić! Może siostry moie uległy wściekłości rozhukanego łaydactwa moskiewskiego... Paszkiewicz, ieden psiak z Mochilewa, dobywa siedziby pierwszych monarchów Europy... Czemuż choć jednego Moskala zabić nie mogłem! A ja tu z gołymi rękami, czasem tylko stękam boleię na fortepianie.*

Ale jeszcze przedtem słów kilka głuchych, jakże bolesnych, na pierwszą wieść o wybuchu powstania postawionych w pamiętniku: *gdyby nie to, że oycu może teraz ciężar, natychmiast bym wrócił.*

Dlaczegoż nie powrócił, by zabić choć jednego Moskala? *Gdyby nie to, że oycu teraz może ciężar, natychmiast bym wrócił.* Jakież może być *gdyby* w takiej sprawie?!

Że oycu teraz ciężar? Jaki? Wikt, ubranie, mieszkanie? Gdy zapada się wyspa wszelkiej cenności, Ojczyzna twoja, synku?

Ocean niezmierzonej muzyki zatrzymał fale, poru-

chy dźwięczne i łoskot radosny. Rozmiary brzmień spłynęły, zmilkły, w tych dniach straszliwych opuściły Chopina, że znalazł się sam na sam wobec życia na ziemi, bezsilny, poniżony, z pustką w utęsknionym słuchu.

Gdyby nie oycu ciężar! Gdyby nie to, owo, tamto, inne, dziesiąte... Więc, jakże, Fryderyku?!

To tyle ci zostało z opowieści starego preceptora Żywnego o Kościuszce, Łokietku, coś to wygrywał te dzieje zaraz na fortepianie? Więc jakże to?!

Więc niech Ojczyzna ginie, byle by pieśń została?!

Głęboka, czarna rana romantyzmu polskiego... Niósł ją w sobie i Chopin, biedaczek wiarołomny, udręczony tą raną, otruty w swym sumieniu. Nasłuchiwał, czekał i dręczył się. Ludzie mówili wtedy o takich przejściach: tęsknił. To znaczy pragnął uciec od samego siebie, powócić i zastać się już innym. Lepszym, odmienionym przez los.

Uciec nie było gdzie. Trzeba było, by się ta rana wgłębiała dalej i jeszcze głębiej, aż do samej zasady istnienia. Aby się stała chlebem świętym, a zarazem powszednim. Aby się stała użytkiem każdej pracy. Aby się stała całym tobą, abyś ty stał się nią. Wtedy na zawsze wiesz, że nigdy już nie zdradzisz, boś już po tamtej stronie doświadczenia. Wtedy posiadłeś prawdziwy skarb twej nędzy. Możesz się śmiać, możesz szaleć, wszystko możesz udawać, już wiesz, ile się prawdy w tobie mieści i znasz wszystkie jej grzechy... Wtedy na wierzchu śmiech, wesołość, krój fraka, rozkosz, modne buciki, sława, najdroższe bibeloty, ale w s o b i e kamienie młyńskie dźwigasz, z drobnej pestki gotóweś świat utoczyć, z czterech, czy pięciu tonów zapomnianej śpiewki wznieść całe prawo piękna.

Tak się stało, gdy po rozpaczy przeżytej w Wiedniu, w Sztutgarcie, przybył Chopin jesienią do Paryża. A tu? Tutaj ocean szumi znowu, przecknęły się porywy tonów, już można schronić się pośród fal niezgłębionych i tylko wyłaniać się na brzeg i popasać bezpiecznie.

Cóż to znowu za wyspa ten Paryż! Tu dopiero jakież koty tłukące butelki, jakież wspaniałe pojedynki kaczorów z gęśmi, jakież lisy, jakież gąsiory i jakież krowy pompatyczne!

Cóż to za wyspa, której marzenie szalone miecie gromadę duchów, Balzaków, Heinów, Berliozów, Lisztów, Rossinich, Meyerbeerów, proroków, Mickiewiczów, Quinetów, Micheletów, chemików, filozofów, wodzów i generałów, powstańców, wszelakiego rodzaju spiskowców, wszelkiej odmiany królów! Cóż to za wyspa od kamiennego torsu Wersalu przez Łuk Tryumfu aż po rozwarte objęcia hieratycznych Tuileriów, spoczywających w nieśmiertelnej powadze nad rzeką.

Kto tu, kto najważniejszy? Duch łaciński, czy krew ludu pomieszana z krwią królów, czy kobieta, która w pałacach nad tą rzeką żyje jak nigdzie indziej, czy wino, czy też genialny rożen kuchni wyśmienitej, dowcipne słowo, czy praca gilotyny, wolność ducha i wolność śmiecia, strzegące tutaj wspólnie godności człowieczeństwa?!

Tu Chopin odżył. Niech romantyczna rana broczy. Im więcej broczy, tym ocean tragiczniejszą muzyką dźwięczeć będzie. Im piękniejsza muzyka oceanu, tym niech będzie życie zabawniejsze. Im ciężej tam w głębinach, tym lżej na powierzchni, ach, co za rozkosz w takowym przeciwieństwie!

Tak sobie to ułożył i urządził w Paryżu. Ale nim się to ułożyło, urządziło, musiał był walkę stoczyć rozstrzygającą, na tej nowej, paryskiej wyspie światowych doczesności z dwoma przedziwnymi stworami, ze smokiem i z profesorem. Ze smokiem owoczesnej muzyki, Lisztem, i z profesorem, ale nie takim, jak poczciwina Żywny, lecz profesorem kusicielem, największą pianistyczną doskonałością ówczesnego świata, Kalkbrennerem.

Chopin chce umieć grać doskonale jak sam Kalkbrenner. A Kalkbrenner powiada: — Tego się będziesz pan musiał uczyć ze trzy lata.

Chopin do domu pisze, z domu krzykiem odpowiadają, cała familia, z dzielnym Elsnerem na czele, że przecie w domu się nie uczył, nie bębnił wcale, a i tak wszystko umiał od razu.

Pokusa jest zbyt wielka: technika, doskonałość!

Zaczynają naukę. Śliczna nauka, którą z lekcji na lekcję pochłania coraz prędzej żywioł oceanu. Kalkbrenner coraz częściej ręce kładzie po sobie i prosi ucznia swego: — Graj co sam wiesz...

Znakomity Kalkbrenner, jak ongiś dziadek Żywny: podziwia talent ucznia.

Ale Liszt? Ale ten smok grzmiącą paszczęką klawiatury pożerający wszystko, Bacha, Schuberta, opery, pieśni, folklory, wszelkie tańce, wszelką muzykę wszystkich części świata? Ale Liszt? Dziki czikos w sutannie, a zarazem rękodzielnik siedmiomilowy, tchnąca papryką stara panna sentymentalna o kopytach Atylli, diabli ogon na klawiaturze, a w oczach łzy duchowne?!

Ten smok siarczysty, gdy się spotkał z muzyką szopenowską, przeraził się i co prędzej zapadł w sitowia.

Na jakiś czas zniknął z estrady i w ukryciu nałamywał wspaniałe palce do tej nowej muzyki. Gdy je nałamał, wyłonił się z sitowi prześwietnym szopenistą i dalejże Chopina ścigać jego własną muzyką.

Fryderyk chodził dokoła tego smoka z cierpliwym pobłażaniem. Wystarczyło pomiędzy nimi zawsze jednego malutkiego zaklęcia, aby ognisty smok przywarował potulnie. Zaklęcie to: mazurek. Tak przezywał Chopina Liszt! Wielki czikos rozumiał, ile w owym tytule, ile w owym gatunku, wprowadzonym drobną ręką Chopina w świat form nieśmiertelnych, było wyższości nad wszystkim, co budowali wówczas inni. Wyższości i geniuszu!

Inni: talenty, kunszt, rozumy, zręczność, płynność... On, Chopin, łaska uświęcająca, do piersi ludu słuchem nieomylnym przywarta. Nie rozkosz to? Tam w głębi oceanu tragedia gra, a tu za parę dźwięków tej tragedii oddaliby ci wszystko i masz wszystko!

Smok przed powiewem onych dźwięków pod ścianami przemyka, wszystko, wszędzie otworem, pałace i sa-

lony. Zewsząd cię proszą o naukę księżniczki i hrabiny, kłania się wszędzie najlepsze towarzystwo, stary wiarus za służącego drzwi u mistrza otwiera — Paryż, Paryż, kultura! Nie zważać na szczegóły, ogóły, młodość pogodzi wszystko! Apartament, kabriolet własny, najwytworniejsze fraki, pójdziemy bywać w wielkim świecie.

Zabawa znakomita, sezony i wycieczki, a teraz markiz prosi. Markiz prosi na wieczór, mamy czas cały dzień. Rano w Montmorency. Pojedziemy na osłach, co je dziewczynki wynajmują na rynku. Nikt jeszcze nie wie, ilu tu wodzów polskich, poetów rozbitego narodu spocznie kiedyś na tym cmentarzu w Montmorency. Pojedziemy na osłach dalej przez wielkie, gęste lasy.

Tak, ta starsza dziewczyna! No i cóż z tego, co?! Dlaczegóż nie! Ach, jaki śmiech. No dobrze, mniejsza o to. Teraz masło, mleko i świeży chleb w oberży. Jak w Warszawie, jak w Polsce, jak w Żelazowej Woli. A potem tam w gospodzie wino. Czy nie za dużo? Nie może być za dużo. Potem obiad. Górowski, taki jeden, przyjechał powozikiem, naturalnie urżnięty, jedziemy razem, powozi jak szalony. Polak, Polska, ma się rozumieć — my!

Gdzieś tu na wsi, w niedalekim sąsiedztwie dźwięczy miła pamięć Grettryego, gdzieś tutaj Rousseau pisał czy marzył, może kochał? Ale co tam i po co myśleć teraz o starzyźnie, prędzej, bo będzie późno do markiza!

Czeka rodowy markiz i wszyscy zaproszeni goście czekają na onego proroka polskiego w pięknym fraku,

na tego czarodzieja, który tak gra cudownie, że najstraszliwsze przeciwieństwa życia, ducha, miłości i cierpienia układają się zgodnie w muzyce... *Gdyby nie oycu ciężar...* To właśnie *gdyby* krwawi zawsze na klawiaturze, ale za to jakiej dodaje mocy i jakiego wyrazu, i jakiej polotności!

Słuchajcież państwo, markizowie, Berliozy. Muzyka, że sam bledniesz i umierasz palcami na klawiszach. A potem, gdy klaskają zachwyceni, mówisz im z półuśmiechem, niby to od niechcenia, że to była któraś tam pieśń bojowa pułku polskich ułanów. Zawsze ten błysk!... A potem dodajesz niedbale do przyjaciela — jutro o tym zapomną.

Cóż jutro, dziś jest szampan! Te przeciwieństwa cudne to jest dopiero życie! Z krwi, bólu toczyć piękno doskonałości, z poszarpanych mundurów i szmat prząść czarujące tęcze, ach, cóż to za zabawa nieprzytomna! Tam w oceanie samo już się układa, co się ułożyć ma z takiej przeciwstawności, a teraz przyjaciele!

Jazda! Z własnego wytwornego mieszkanka własnym kabrioletem, ulicami tej wyspy, która się zwie Paryżem, do Rocher de Cancal. Najlepsza restauracja. Obok przepięknych egzemplarzy płci pięknej na piętro, mimo kępy garsonów, dalej do gabinetu !

Tu przewertować poważne dziełko z wybornym spisem potraw i już, dalej! Więc ostrygi, potem puré z dziczyzny, a potem będzie matlot, cóż, rybka jak marzenie; no a potem szparagi.

Takie menu ułożył, zjedli, ma się rozumieć całe śnia-

danie w błogim szumie szampana. Tragedie tragediami, ale młodość?

Matlot, szparagi, szampan!

A teraz z cygarami w ustach jazda do Tortoniego. Cóż za kawiarnia!

U Tortoniego kawa!!!



Od rana comtessy, principessy, baronessy na lekcjach fortepianu. Nauka w pięknym apartamencie, apartament bardzo wytworny, istne gniazdko modnisia, gdyby rajskie ptaki w ludzkich mieszkaniach przebywać chciały, takie by chyba pokoje, sprzęty i bibeloty wybierały.

Rano nauka: na kościanym biało-czarnym pasemku klawiatury Pleyela różowa rączka comtessy, principessy czy baronessy; pięcioramienna gwiazdeczka. Jak ma grać, palce stawiać, łączyć tony, przerywać, harmonie pedałami posuwać, rozjaśniać, ściszać, akordami malować stany duszy. Niby to od niechcenia, ale z czujnością odkrywczą, między uśmiechem a uśmiechem, ukłonem a ukłonem młody Fryderyk udzielając tych lekcyj czy tu u siebie, czy w mieście na błyszczących salonach tworzy nową metodę gry.

Zwał ją kiedyś sam żartobliwie metodą metod: tworzy szkołę władania instrumentem, która się okazała nie prześcignioną dotąd. Ta nowa szkoła gry nie z palców, nie z muskułów pochodzi, ale ze słuchu, z serca. Nie kołatać, nie stukać, nie szczękać akordami, nie wyczyniać terkotki z palców, lecz radzić się

tęsknoty słuchu. Tylko to! Tęsknota, upragnienie, serce na końcach palców.

Comtessy, principessy, baronessy; po południu wizyty, po drodze sklep z nutami, zobaczyć mimochodem co tam inni wydają. Jeszcze dalej po drodze jakieś stare Polaki dobre, nieoceniona Klementyna z Tańskich, albo jaki generał, albo Niemcewicz sam, poeta wiecznotrwały, albo jaki bądź żołnierz, wiarus — do czterdziestu takich wiarusów miewał Chopin na swym garnuszku. Wieczorem zaś salony.

Tych salonów do odrobienia dwadzieścia czy trzydzieści, czterdzieści czy pięćdziesiąt. Comtessy, principessy, baronessy, ambasadory, książęta i ministry, generały, bankiery, króle! Że co?

Że nic.

Jak wszyscy ludzie poprawnie wychowani, mili, swobodni bawić się, tańczyć, śpiewać albo wesoło udawać jakichś innych. Gdy nagle... Oto on: już jest przy fortepianie. Ta sama przecie twarz, lecz nie ta sama. Twarz anielskich przeznaczeń. Nikt nie rozumie jakich, każdy wie, że to są przeznaczenia anielskie. Chopin improwizuje.

Całą drugą muzykę, oprócz pisanej, gra tu, całą drugą muzykę rozsnuwa przez niepowrotność przemijania. Jakby się ściany salonu rozwiewały, sufit opływał niebem a ludzkie sprawy, rzeczy? Wszystko w jednym natchnieniu.

Jedna tylko na świecie za to wdzięczność: w objęciach jej ochłonąć, w jej objęciach stawać się niczym, dla płochego uśmiechu. Posąg ze śnieżnego marmuru,

pulsujący upojeniem owocu... Oczy tej żywej rzeźby płoną ciemnym płomieniem, a czoło nie zmącone, gdy z ust, które są hasłem różowym pocałunku, jawi się śpiew. W otoce warg czarownych głos jak promień słoneczny!

Pani Delfina Potocka. Z tych polskich pań, z tych obłędnych piękności, które pośród ruiny kraju i nieszczęścia powabem swym gotowe były obłaskawiać najeźdźców. Rozkoszna Wenus, śpiewająca wśród fal szopenowskiego oceanu, pławi się, nurza żywcem w bujnych, dźwięczących zorzach.

Tupot, śmiech, światło, ruch, rozmowa i dzień, i noc, i wszystko temu sprzyja. Gładkie schody radości. Przez schody te pofrunął płynny taniec, to walc, sypany brylantami, szeptany lekko stopą rozbieganą a nagle, jakgdyby pchnięciem ciosu, przeszyty głosem bolesnego wspomnienia.

Ten ból tak piękny jest, że staje się ozdobą. Całe życie ozdobą! Natchnienie za igraszkę, czarowna myśl za krew, polotny ton za ten marmur pachnący, wszystko idzie za wszystko, radość odpowie ciosem, wymiana zawsze równa, spotkanie na spotkanie, wiek męski, zenit przecie!

Taką pełnią przeciwieństw tchnęły te lata Chopina. Comtessy, baronessy i principessy, estrada, wielki świat? Na bok, na bok z tym wszystkim! Zostawił, nie powiedział nikomu nic i oto jedzie znienacka do rodziców do Karlsbadu.

Każdego dnia był z nimi za całe swoje życie. Ile radości, śmiechu, ileż uroków kochanej wyspy polskiej

przywieźli mu ze sobą! Ileż cudów, honorów, dziwów przywoził im z Paryża. Istna groteska czasu: tam w Polsce wszystko bliskie, zwyczajne, osiada szerzej, rośnie głębiej, a on, najbliższy, buja najdalej w bezbezdomnym, obcym, wielkim świecie światowym grający rajski ptak.

Być rajskim ptakiem, a tu móc jak bezbronne dziecko ułożyć się u stóp i westchnąć, i powiedzieć: — sami wiecie, jak wielkim jestem dzieckiem.

Odetchnąć tak, to ukryć się przed przeznaczeniem pod sercem matki.

Ale kiedy się spotkał z Mendelssohnem, z Schumannem, jak gdyby sam zapalał nad czołem gwiazdę swojego przeznaczenia. Przemijał przez tych wielkich artystów, przez ich muzykę i środowiska, pełne najwyższej miłości ideału, jak ktoś z innego, jeszcze wyższego świata. Z nadziemskiego!

Eol, Ariel, marzenie, powiew nieziemskiej cudowności, sama istota muzyki, błogosławiąca dawnej, rodząca nową w szczęściu boskiej łatwości.

Akwizgran czy też Lipsk: dzieci miały przykazane patrzyć na niego i zapamiętać, że to on, że tak wygląda, że widziały w swym życiu Chopina. Pannom, jak się zwierzały wtedy, jak się zwierzały później, gdy już nie żył, pannom pozostał widok jego i słowa, gesty i spojrzenia, i uśmiech, jako najpoetyczniejsze wspomnienie młodości.

Stary mistrz Schadow na czele zacnych swoich malarzy, stary dzielny muzykus Wieck, ojciec żony Schumanna Klary, świetnej pianistki, Mendelssohn, Schu-

mann! Mendelssohn, który muzyką swą uskrzydlał Szekspira, który jak świeże źródło wiosenne bił w ciężkim, groźnym szumie niemieckiego romantyzmu. A Schumann! Schumann rysujący tonami, Schumann myślący pieśniami, Schumann jak tęcza rozpięty między słowem a tonem, Schumann wszystkimi nurtami swej muzyki nie mogący dotrzeć do istoty własnego przeznaczenia, męczennik nigdy do dna nie wysłowionej prawdy!

Nie tak to było, jak dziś. Nie na sali koncertowej i nie ogromną czcionką cyrkowego afisza zwołani. Schodzili się w domowym towarzystwie i tu jeden w obliczu innych, niby nad studnią pochylonych nad fortepianem, grał swe nowiny.

W takim to najlepszym towarzystwie czekali uroczyście na Chopina u państwa Wiecków. Ale cóż? Czaruś poprzekręcał terminy, zasiedział się u Mendelssohna, nie przyszedł na czas, ci więc obrazili się, wyszli, że niby wielki afront. Został tylko Schumann, ten Schumann, który o Chopinie pisał: — *wiesz, co się dziś stało? Wyobraź sobie, drzwi się nagle otwierają i wchodzi On!*

Był tu Chopin — drukuje później o tym spotkaniu Schumann — *Florestan* * *rzucił mu się w objęcia. Widziałem ich idących pod rękę, a zdawali się raczej unosić w powietrzu, niż iść.*

Grał tu Chopin — pisze do swej żony Mendelssohn— *nie słyszałem nigdy niczego podobnego.*

Mendelssohn, Schumann, artyści, więcej — geniusze.

* Pseudonimem Florestan nazywał w swych pismach muzycznych Schumann samego siebie.

Dzieło ich trwa sto lat i nowym wiekom oprzeć się zdoła pięknością czarowną. Lecz on muzyką swoją zapowiadał, że sam te dalsze wieki tworzyć będzie, że to z jego zasady wyjdzie wszystko, co żywe, nowe i zdobywcze.

Prawdziwi twórcy: gdy ten jeden pośród nich trzech najwyżej wzlata, dwaj inni zachwytem swoim jeszcze mu sił dodają. Jakie narodowości, jakiej wiary, jakich przekonań, jakiejże szczytnej postawy są ci ludzie, którzy w zgodzie cudownej żłobią drogi najpoufniejszym wzruszeniom ludzkości?! Niechże wielcy mężowie, którzy krajami rządzą, morza na własność ludów przelewać zamierzają, narody przeciw narodom wiodą w myśl spornych zasad czy też wierzeń odmiennych, raczą zapamiętać tę chwilę i niechże raczą poszukać w niej wzoru tworzenia wzniosłości.

Możni mężowie i władcy tamtych czasów rozumieli, iż pięknie to, gdy w ich koronach błyszczą najcenniejsze kamienie rozległych ziem i bogactw po społu z blaskiem geniuszów owych ziem. Hrabia Pozzo di Borgo, ambasador cesarza wszystkich Rosyj w Paryżu, zwrócił się do Chopina, by ofiarować twórcy Polonezów i Ballad owo piękne błyskanie w koronie władztwa cesarskiego.

Prémier pianiste de S. M. l'Empereur de Russie; honorowy profesor klasy mistrzów cesarskiego konserwatorium w Petersburgu. Góry złota! Po tytule, udzielonym przez największego podówczas cesarza, sypnęłoby się tytułów od innych królów i cesarzy na pewno już bez miary. Złoto, zaszczyty, triumfalny przejazd przez kraj ojczysty, przywrócenie do wszystkich praw obywatelskich Chopina-emigranta, znowu wszystko otworem od cesarskiego dworu aż do kochanych progów domowych w Warszawie.

Skrupuły? Iluż Polaków powracało pod berło największego cesarza wszystkich „ludów słowiańskich"? A tu nie powrót nawet, lecz istne przeprosiny ze strony możnowładcy. Za jeden koncert w Petersburgu złota, sławy, orderów i honorów bez miary.

Ale Chopin nosił w swym sercu inną miarę tej światowej potęgi, swą własną miarę polską, która na dwóch granicach imperium rosyjskiego, nad Wisłą i w kopalniach, katorgach syberyjskich broczyła krwią rodaków. *Czemuż z gołymi rękami... Gdyby nie oycu ciężar natychmiast bym wrócił... Boleię na fortepianie...* Owo *bolenie* dosięgło już chwały światowej. Już nie był z gołymi rękami. Już Polonezy jego, niby polskie Legiony, wędrowały przez wszystkie kraje Europy. Już Ballady, tajemne zaklęcia polskiego obyczaju, wnikały między wierzenia wszystkich narodów świata.

Przemoc — a pieśń! Miliony i miliony ludzi, miliony i miliony mil, miliony i miliony złota, setki, tysiące rzek, wyspy, morza, żywioły, obszar, ciężar i rozmiar! Naprzeciwko nic prawie: nowa harmonia tonów.

Chopin odmówił wysłannikowi cesarza rosyjskiego, stracił wszystkie korzyści ziemskie, prawo powrotu, prawo obywatelstwa, a że nie chciał przypisać się do innej żadnej ziemi, aniżeli rodzinna, pozostał już do końca jakby wydziedziczony z ziemskiej ojczyzny, obywatelem własnej swojej muzyki.

Wiek męski: spotkanie na spotkanie, zenit przecie!

Lecz nawet taki obywatel bezpański, gdy w ramie praw dziejowych zewrze się z wielką mocą, gdy straciwszy na ziemi — w dziejowym przeznaczeniu zwycięży ową przemoc... Lecz nawet taki obywatel w przebiegu dni powszednich szukać zacznie cichej przystani, tęsknić zacznie za spokojną zagrodą... O, ukochana, najmilsza powszedniości, niewolo utęskniona: pozwólże się zakrzątnąć, jakby to było istotą wszelkich wzlotów, najskromniejszą zasadą wszystkich szczytnych poczynań.

Prorok, Samson, bohater, rajski ptak zatrzyma się przed najzwyklejszym progiem i tutaj żebrać pocznie. Z bogacza nędzarz proszący o kruszynę: za opłotkami swojskiego obyczaju panna Maria Wodzińska, wyćwiczona w pomiernym posłuszeństwie.

„Szara godzina", „kącik Frycka przy fortepianie" i jeszcze jakaś oględna pora dozwolonych westchnień. Tyle można, a więcej już nie można, o więcej spytać mamę... Potem zaś listy z czułostkowym krętactwem, a obliczone jakby trochę na zdrajcę, że gdyby zdradził, na żadnej stronie żadnej kompromitacji nikt z listu nie wyczyta.

Szaleje za tą panną i Słowacki, i Chopin. Znać się przestali z powodu niej i oni, duchy cudne, wędrujące na zawsze w głąb polskiego marzenia, o taką to panienkę rozeszli się na zawsze w swej ziemskiej znajomości.

„Coś niewypowiedzianie uprzejmego" — mówi o tej panience szanowny pamiętnikarz — oraz tyle talentów. Grała na fortepianie, haftowała pantofle, malowała portrety, marzyła aby się Chopin nazywał „Chopiński", to by w współzawodnictwie narzeczeńskim potomkowi starego rodu, Chodkiewiczowi, sprostał.

Te uprzejme talenty wszystkie, uwieńczone talentem powszedniości.

Któż by, jak nie poeta! Taki bogacz położy wszystkie skarby u stóp takowej powszedniej pantareczki i śpiewać będzie pieśni najszczytniejsze, i wierzyć będzie, że w takiej dziewczyninie samą istotę upragnionego życia powszedniego weźmie w swoje ramiona.

Klęczy tu, śpiewa pięknie, a oni, tamci wszyscy, mama, tato, rodzice, krewni ciągną jak na grubego zwierza; jak na ogromną rybę zarzucają sieć wielką. Konwenanse, terminy, obietnice, rozkazy: w zdrowie jego wkraczają, pantofle ciepłe dają, wełniane pończochy zalecają, każą pić eau de gomme na częsty kaszel, o jedenastej w nocy leżeć w łóżku zdrowotnie, a salonów zaniechać. Ze Służewa, tu spod Warszawy, śledzą aż tam, w Paryżu, czy zalecenia spełnia, opukać by go chcieli, płuca do ręki wziąć i jak robótkę lub kaszmirski dywanik przejrzeć, czy nie ma dziur?...

Więc gdy się okazało, że „na długowiecznego nie wygląda", ach, że nie tylko szafy, może krzesełka ich pięknego salonu nie da rady przetrzymać, gdy zachorował nagle i sam sobie wypisał Marsz Żałobny — wzięli, odcięli się milczeniem i roztropnie zerwali.

Aż spadła na Chopina sama miłość. Jak miłość: nie marzenie, upodobanie, pożądanie, szaleństwo, rozkosz, anielstwo czy diabelstwo (tak wówczas wielce modne), ale miłość! Upragniona i nieoczekiwana, najbliższa a zarazem wbrew wszystkiemu. Zarazem dla

wszystkiego. Wspólnota, wrogość, zgoda i przeciwieństwo, wszystko w jednym tylko złączone pożądaniu, by razem trwać.

Ludzie pytają: dlaczego ta, nie inna? Poprzez zmysły, poprzez ich żar, poprzez ich chłód, poprzez zbieżność, rozbieżność, poprzez wierność, niewierność, w cierpieniu, w oburzeniu, w śmierci samej: by razem trwać.

Ludzie mówili, że to dlatego, że Wodzińska ot, taka sobie pantareczka, a pani Sand — sam żywioł. Że on był słaby, marzyciel, w życiu potocznym niedołęga, a ona? Ogień, sam ruch, energia! Po nocach powieść pisała, jedną, drugą, dziesiątą, dziesiątki kilometrów powieści, jakby kto chodnik tkał, stąd, tu z czasów obecnych, aż do progów świetlanej przyszłości.

W nocy powieści takie pisze, całej ludzkości drogi swoim chodniczkiem mości, a we dnie konfitury smaży, w ogrodzie piele, tygodniki bojowe wydaje, gotuje kuchnię wyborną, dzieci uczy, konno jeździ, biedaków od nędzy ratuje, przybłędów adoptuje, wszelakie gospodarstwa sprawia, wszelakie akcje społeczne, publicystyczne, a jeszcze wieczorami na salony wystąpi urocza, czarnooka, w turbanie, w szarawarach, z cygarem w ustach.

Jedni mówią, że urodziwa, Heine woła, że istna piękność, Balzac że nazbyt przysadzista i że owal za pełny, i że już dwa podbródki. A znów inni o urodę nie stoją, nie zauważą nawet, gdyż ich pochłonął ten jakiś ogień szczególniejszy owej damy, bojowej przewodniczki, o której najrozumniej chyba rzecze stary Nestor, Niemcewicz, powiadając: — osobliwsze stworzenie.

Chopin, który grać nie chce nigdy dla pospólstwa, sala na trzysta osób co najwyżej i niechże jeszcze będzie kwiatami przybrana, Chopin, który nad jednym mazurkiem siedzi po sześć tygodni, Chopin, który mocuje swoją Polskę w samej nieśmiertelności, który choć mu pękają płuca, nigdy o sobie nikomu nic nie mówi, Chopin wcielenie miary, szyku i ta pani w tureckich szarawarach, powiadająca o sobie wszystko całemu światu, nie skreślająca nigdy nic w kilometrach powieści swojej (że aż się Musset za głowę łapał, gdy te skrypty oglądał) ta pani Jerzy Sand, socjalistka a zarazem hrabini, utaprana ziemią rodzinną po łokcie!

To tylko miłość sprawi: trwali razem zadając sobie rany, boleści świadcząc lecz służąc sobie ukojeniem wzajemnym, którego nikt nie zdoła na składniki rozłożyć, które właśnie sprawiało, że kwiatem, głogiem, cierpieniami, lecz kwitli wedle siebie najbujniej.

Ta miłość porwała go, uniosła spośród prac, urojeń, z oplotów, kręgów, wysp zawsze tymczasowego życia, na najprawdziwszą wyspę szczęścia. To Majorka.

Zabierasz wszystko, dzieci, powieści, służbę! Nie raziło Chopina, cieszyło, że będzie z nią i z wszystkim co jest jej, z całym taborem jej prac i obowiązków. Kronikarz mówi, że pojechali gwoli zmiany klimatu. Tak. Zapragnęli zmienić klimat stałego lądu na klimat swej miłości: poza krajem, poza krajami, poza wszystkimi ojczyznami, poza sławą, zaszczytem, za całym światem.

Wyspa i słońce, palmy, skały i ptaki. Wolność, lot,

upojenie, przeszłość w murach odwiecznych zastygła, przyszłość w wiecznym kwitnieniu drzew. My sami, jedni, jedyni na świecie, my sami — samo szczęście.

Nie śpiesz̀e się, człowieku, dosięgać szczęścia swego. Tu bowiem czeka na ciebie czas przełomu, w którym choćbyś osiągnął wszystko i przymusił, by przeciwieństwa wieczyste układały się zgodnie, zaprawdę przed oczyma twymi pójdą zgodnie, ale na drogach przeznaczenia rozminą się, rozejdą i wrogo przeciw sobie powstaną. To jest ten czas, że im bliżej podszedłeś, tym dalej cofnąć się będziesz musiał. Że gdy się szczęściem wypełnisz aż po brzegi, dostrzeżesz, żeś jest pusty. Albowiem szczęście twoje nie zdoła nigdy sprostać harmonii, którejś pragnął od siebie. Dążysz, gonisz, krok twój rozbrzmiewać będzie na świecie tryumfami, ale tryumfy te klęską dźwięczą w życiu.

Ta upragniona wyspa istnym piekłem! Wśród balsamów południa rajski ptak spływa krwią. Gorączka i krwotoki. Żywiony pieprzem, czosnkiem, wedle mniemania mieszkańców wyspy człowiek zapowietrzony, tchnący dokoła śmiercią. Stronią od niego, palą po nim posłanie, pościel i sprzęty, bielą ściany. Tonie w deszczu i grzęźnie w błocie, przerażony wśród starych murów woła, że mieszka w trumnie, poetessa w ciężkich posługach walczy o jego życie.

Rajski ptak zamieniający się w puchacza pośród cudownych murów odwiecznego klasztoru, z którego okien cudowny świat ucieka znowu dalej, wyżej, znowu nieosiągalny, niedościgły na zawsze.

Przybił do wyspy idealnej i oto nigdy już dalej nie wyruszy, powracać tylko będzie raz po raz z każdej drogi i już nie masz w tym życiu nowych, prócz wielkich dróg powrotnych...

Powracał stąd pomiędzy swoich dawnych ludzi nie jak człowiek, jak cień. Powracał na przygodnym okręcie, pełnym nierogacizny, pośród nieustannego kwiku świń, nieporównany żeglarz tylu nowych harmonii, ułożony na dnie okrętu jak zhańbione marzenie.

A tu na lądzie zaraz mu śmierć zabiegła drogę. Zwłoki przyjaciela Chopina, samobójcy Nourriego, największego śpiewaka tych czasów, który cudnym swym głosem pieśniom Schuberta światowe drogi wyśpiewywał a z Chopinem tak chętnie wychodził na estradę. Więc temu śpiewakowi wspólnych tryumfów młodzieńczych grał Chopin w Marsylii na organach jakieś ważne, przepiękne rozważania o gwiazdach. Ci, którzy mieli szczęście słuchać owego grania, mówili, że w tej muzyce już słyszeli jakby się dusza Chopina odrywała od ziemi i harmonią nieziemską podążała w zaświaty.

Czy pani Sand wiedziała, że swym żarem, fantazją, pasją życia broni go jeszcze przed tymi zaświatami? Czyli też przeczuwała, że żyjąc bujnie, czynnie, pracowicie, a zarazem szalenie, staje się tylko wymownym przeciwieństwem owych tonów dalekich, wysokich, szczytnych, za którymi szedł teraz Chopin coraz śpieszniej?

Stracili pierwszą swoją miłość na Majorce. Gdy wrócili do Francji i w Nohant na wsi u pani Sand, i w Paryżu już inną rozpoczęli i inną prowadzili, przedziwną

miłość zaboru i ofiary, wyzysku i opieki, rozpaczy i czułości.

Jak gdyby Chopin wiedział i pamiętał, że szczęście jego nigdy nie sprosta harmonii, której czekał od siebie. Łamał to szczęście, doświadczał go okrutnie, marnował każdej chwili. To on w tej grze bolesnej stał się zaborem, wyzyskiem i rozpaczą. To on przeniknął biernym urokiem życie swej ukochanej zagrażając jej spokojowi każdej chwili, żądając ciągłych ofiar, chorym wdziękiem przymuszając do nieustannej opieki i czułości.

Jak gdyby chłonął z tej kobiety nieopisaną bujność, jak gdyby gwoli wzniesienia własnej doskonałości, ciszy i nieśmiertelnej powagi potrzebował był takiego zgiełku, szamotania, jarmarcznego nieomal zamętu.

Przy pani Sand stworzył przecież całą drugą połowę swego dzieła. W tym rozgardiaszu powieściowej sławy, przyjaciół, dzieci, ogrodu, kuchni, stajni wzbijał się sztuką swoją jak najwyżej. Przy tej kobiecie stał się jakby pozorem, urojeniem małżonka, urojeniem ojczyma, urojeniem jakowejś gospodarskiej trzeźwości, urojeniem, czy też może ironią powszedniego człowieka, pozorem wcale drobnej a zgiełkliwej szarzyzny i może nawet wygodą pospolitej ucieczki, którą mógł był odbijać chlubnie w głębinie swoich natchnień. Widać, że potrzebował był, że musiał swoim mierzchnącym trwaniem nasuwać się, zachodzić na taką bujność, na taki wrzątek ruchu, pośpiechu, światła i niby wzniosły, czarujący pasożyt chłonąć tę bujność i ruch, i zgiełk, i światło.

Dzieci pani Sand temu kres położyły. To nowe życie, które wzrastając z niczym się nie liczy i umie ciosy zadawać doskonałe! Ostatnie lato w Nohant spędzał prawie samotnie. Córka pani Georges Sand, pięknooka Solange, przemyka konno za oknami dworu ze swoim kawalerem. Syn z matką wyjeżdżają powozem w okolicę. Chopin został na górze w pokoju z swym papierem nutowym i z pieskiem zwanym Marquis.

Już do nikogo otworzyć ust. Chyba rozmawiać z pieskiem. Dzieci to wymusiły, że tu w Nohant odprawił Chopin swojego służącego Polaka. Zawsze tak było przecież, że miał przy sobie jakiegoś tam wiarusa i zawsze ot, tak sobie, na marginesie światowego życia, prowadził się był Chopin z jakimś takim polskim żołnierzem dawnym. Niby że wielki świat i taki mistrz wytworny...

Lecz kto wie, czy to prawda o tym mistrzu i świecie? Może tylko muzykant wędrujący, wsparty na ramieniu powstańca? Muzykant wędrujący i dawny żołnierz, kochane, wierne, polskie człowieczysko, z którym mistrz gada zawsze po nocy, gdy z salonów powróci, bo przecie mają we dwóch swoje ojczyste sprawy, których nikt inny nie potrafi zrozumieć.

Nie ma już tu wojaka, chyba rozmawiać z pieskiem. Dopatrywał się Chopin teraz w onym piesku osobliwej mądrości. Jakaż to była mądrość? Mądrość stworzeń idących swoją zwyczajną drogą, gdy duchy swoją tajemną odchodzą w inny świat. Po stronie życia piesek Markiz, a po drugiej, tajemnej, już nic prócz oceanu, co to zaszumiał nagle, gdy malutki chłopaczek palce kładł na klawiszach... Co to wtedy, tam jeszcze, w Żela-

zowej Woli, Wojtek z Bartkiem na wozie po worki przyjechali, czy też gdy mama pianę w kuchni biła, drzewa znów przeszumiały, kura przebiegła ścieżką...

Cóżeś wysłowił z tych wszystkich cudnych szumów, co by zdołało ukoić twą samotność? To jest ten czas, że im bliżej podszedłeś, tym dalej cofnąć się będziesz musiał. Że gdy się szczęściem wypełnisz aż po brzegi, dostrzeżesz, żeś jest pusty. Albowiem szczęście twoje nie zdoła nigdy sprostać harmonii, którejś pragnął od siebie...

Uciekać stąd, powracać! Paryż, Paryż i Paryż: comtessy, principessy, baronessy, ambasadory, książęta i ministry, generały, bankiery, króle! Tupot, śmiech, światło, ruch, strome schody radości... Nie, już nie pobiegł przez te schody. Schodził po nich powoli, znosili go niemal.

Ten ból tak piękny jest, nic już nie ma prócz niego...

Zagrał to raz ostatni na estradzie paryskiej Pleyela: wszędzie kwiaty, piękne kobiety, wspaniały blask brylantów. Przy klawiaturze cień, jak gdyby cień we fraku. Ale oto z poruchu dłoni już niemal przezroczystych wybucha jeszcze raz samo szczęście muzyki!

Cień tchnie resztkami światła.

Gdzie szukać nowej prawdy i gdzie jakiej stałości? W Paryżu rewolucja. Wiosna Ludów. Chopin spoziera na nią oczyma obojętnej mądrości. Cóż mu tam rewolucje? Gdyby Ojczyznę jego mogły zbawić? Nie wierzy, by zbawiły. W tym patetycznym zgiełku świata już tylko wciąż powraca. Powraca przez salony, powraca poprzez ludzi, powraca przez uczucia.

Tu gdzieś w pysznym przedsionku spotkał ją raz ostatni, tę swoją miłość wielką, zadając cios ostatni sobie i jej: potworny i wzajemny. Gdy się spotkali niespodzianie i mijali w przymusie zimnej obojętności a on, wsparty na ramieniu obcego człowieka, oznajmił o czym pani Sand poróżniwszy się z córką wciąż jeszcze nie wiedziała — właśnie wczoraj zostałaś pani babką.

Ostatni cios w ich młodość, miłość, okrutny, ironiczny. Za ciosem litość: — Córka pani, która powiła jej wnuczkę, jest zdrowa, ma się dobrze.

Urojony małżonek i urojony ojczym, urojony gospodarz, urojona powszedniość... Może takim bolesnym ciosem rozbije tę powszedniość?! Gdy jednak ukochana Georges Sand podbiegła i mówić, pytać chciała nie o córkę, o jego biedne zdrowie, choć prawie chodzić nie mógł, nie zawołał lektyki, odszedł. Warto mu było wytrzymać ból odechu dla tego bólu serca, który zadał ich wspólnej a dozgonnej miłości.

Dlaczegoż ją tak ranił, ową miłość? Ranił, wiedziony chyba ostatnim instynktem: że z tych ran, że z tych cierpień powstanie jakaś nowa wzajemność i jakieś nowe życie. Że tego życia wystarczy dla piękna dni ostatnich. Nadzieja, czy też to było ostatnie już zwątpienie?!

Takie powroty w miłości, takie powroty w sztuce: wrócił teraz do pierwszej swojej myśli, którą miał wyjeżdżając z Warszawy, kiedy wyruszył, *by zwiedzać obce kraje*. Sądził wówczas, że przez Paryż zawędruje do Anglii. Jako młody chłopaczek marzył zapewne o tryumfach bajecznych.

Nadpływają teraz tryumfy owe niby chmury złociste. Gdzie się schować przed nimi? Tryumfy i dostatki. W Londynie apartament wspaniały, w apartamencie owym trzy fortepiany piękne czekają ręki mistrza. Łóżka mu wyścielili puchem edredońskim. Salony i pałace, powóz do dyspozycji, koncerty na salonach, *stu ki-djabłów wstępowych* i sam Wellington, *stary pies monarchiczny;* książąt, lordów, bez końca, a pań? Panie angielskie ścielą mistrzowi drogę miłością i opieką.

Sława moszczona złotem, sława moszczona zaszczytem, uwielbieniem. Już nie warto! Już tylko powrót ironiczny wzdłuż dawnej, pierwszej myśli naiwnej o sławie. Trzy fortepiany, lecz kiedyż na nich grać? I cóż komu z edredońskiego puchu, kiedy w nim spać nie może. I cóż z powozu, gdy tylko niemoc wożą w nim dookoła! I cóż komu z opieki, i cóż komu z miłości tutaj, gdy inna pozostała daleko, przerwana tak boleśnie!

Sława! Sława... I cóż komu ze sławy, gdy po złotych jej stopniach wstępować już nie może. Przemija już, przemija. Kiedy napotka daleko w obcym mieście swą własną nieśmiertelność — ślepego muzykanta, grającego pod starym kościołem mazurki szopenowskie, z pobłażaniem uśmiecha się do swej nieśmiertelności.

Przemija już, przemija. Gdy go złożą nareszcie w olbrzymim starym zamku, otoczą ciszą, usłużnie zładzą wszystko do pisania, cień płacze w owej ciszy: — *Moja sztuka gdzie się podziała, a serce gdziem zmarnował!*

Uciekł stąd i powrócił ostatni raz na swą paryską wyspę. Principessy, hrabiny, księżne i baronessy otoczyły go szumem wytwornym. Lecz cóż mu po tym szumie,

kiedy nie ma przy sobie ukochanej kobiety. Już nie opuszcza łoża, ale wciąż jeszcze czeka, wciąż jeszcze nasłuchuje... Czeka, by sobie, jej, raz jeszcze zadać cios: że nie, że nie, że się nie zejdą nigdy, choć przecież wierzy, wierzy, że nie umrze, jak tylko w jej ramionach, jak byli ułożyli, kiedy tę miłość wielką zaczynali.

Cóż ta paryska wyspa? Powrócić jeszcze głębiej, powrócić jeszcze bliżej. Cóż tam te wszystkie wyspy! Ty jedna wróć, malutka, pierwsza, ukochana, rodzinna, gdzie byłem prawie niczym, zwykłym malutkim chłopcem, a dokoła przędło się ciche, zwykłe, najukochańsze nic.

I cyprysy mają swoje kaprysy — pisze z łóżka do kraju do ukochanej siostry prosząc ją o przybycie.

Przyjechali i już siedzą przy łóżku. Naparstek, haftowanie, profil siostry jak matki, najukochańsze nic błyska na końcu igły, podczas kiedy już coraz bliżej, zewsząd nadciąga śmierć.

Ten krzyk nie wyjawiony, nie zdradzony nikomu, że jakże śmierć, kiedy miłość mówiła, że tylko ona, miłość, wyda mnie z ramion swoich, że nie opuści do tej chwili ostatniej?!

Jakaż śmierć, kiedy ocean szumi wielką, dumną harmonią?! Ale w harmonii owej słychać znowu te ciche, smutne, pokutne słowa: *gdyby nie oycu ciężar, natychmiast bym wrócił.* I słychać żal, i duma z łoża się podnosi zraniona boleśnie, a usta wymawiają: *gdybyż na polu bitwy...*

Ocean szumi jeszcze, słychać porywy, tony, gdy oto

w tony owe wpadają własne słowa, własne a niespodziane: — *Matka! Moja biedna matka!*

Ocean szumi jeszcze, gdy oto wiara ojców nachyla się nad łożem i zapytuje — wierzysz, jak cię matka uczyła?

— *Jak mnie matka uczyła.*

I oto nagle nadchodzi siła inna, moc ogromna, straszliwa, moc czarna i bezmierna. Ocean szumy swoje cudowne zatrzymuje, słuch, ta muszla nieśmiertelnego tonu, pustoszeje żałośnie. Ręka pisze ostatnie słowa — *by mnie ziemia nie zadusiła, otwórzcie ciało, bym nie był pochowany żywcem.*

To jedno jeszcze wiesz: nadciąga zemsta przeogromna, wieczna zemsta na tych, co kwitną i płoną w lotnych tonach, czarny żywioł wali się zewsząd i gniecie, dławi, miażdży. W tym lęku wydał z siebie ostatnią boleść ziemską, w tym lęku zniknął cień.

Ludzie, Ojczyzno jego ukochana, kraje, drzewa, żywioły, gwiazdy nad naszymi domami, nad każdą wyspą i nad wszelką wędrówką: ile widzieliście tu cierpień, pomyłek i upadków, rozpaczy i żałości, tyle znajdziecie głębi.... A ile wiosny, wesela i radości, tyle znajdziecie prawdy w jego nieśmiertelnych tonach.

PAMIĄTKI

Ludzie mówią, o rzeczach: rozumu nie mają i martwe są. Sądzę, że jest inaczej: mają swój rozum, odmienny od ludzkiego, rozsądniej osadzony w pojęciach czasu i ustosunkowany poważniej do zmiennych kolei losu. Rzeczy skupione bywają, obojętne czy roztargnione, mogą trwać całe lata w zamyśleniu, ale kiedy powezmą nagle postanowienie, nic tego nie odmieni.

Niech nikt nie wierzy martwocie przedmiotów. Ileż to razy zdarza się nam wejść do mieszkania i stanąć bez wyraźnej przyczyny w połowie drogi; gdyż zauważyliśmy niespodzianie, że poprzez przezroczystość powietrza połączyła wszystkie przedmioty jakaś wspólna, stanowcza decyzja...

Staramy sobie zawsze później inaczej to tłumaczyć. Człowiek ciągle chce wszystko wszędzie objaśniać samym sobą. Że to on, że to on! Tak chciał, wiedział, rozumiał, pragnął. A tymczasem nieprawda. To rzeczy tak postanowiły, ludzie zaś byli tylko wykonawcami. I tak to idzie razem ku dziwnym końcom: ludzie krzątają się, miotają, a rzeczy oczekują spokojnie, niezmącone w swym tkanym, czy kamiennym, czy drewnianym istnieniu.

Tak właśnie w swoim tkanym, drewnianym i kamien-

nym sercu postanowiły razem zgodnie wszystkie pamiątki po Chopinie, gdy umarł biedny, schorowany, nieszczęsny: — nie chcemy istnieć więcej, nie będziemy!

Skąd taki wyrok srogi? Czy dlatego, że wielce ceniły swojego przyjaciela, więc by z nim razem ginąć? Czy też postanowienie swoje wzięły z przyczyn wieczystych Chopina? Tutaj żyłeś, a inną ziemię kochałeś. Za tą inną tęskniłeś. Tam twoja pieśń powraca ciągle, tam trwa, tam wiecznie dąży. Nie będziemy połyskliwą, zbytkowną obecnością przeszkadzały tej pieśni w twym udręczonym kraju. Niech sama spełni wszystko.

Wykonały, co były ułożyły treścią swojej drewnianej, tkanej, kamiennej, metalowej i wszelkiej innej materialnej istoty. Któż to je zaraz przygarnia po śmierci ich łagodnego Przyjaciela? Miłość spóźniona, już nie odwzajemniona: panna Sterling, szlachetna Szkotka, która tak wzniośle kochała Fryderyka.

Gdyby się wszystkim owym rzeczom pysznym, pańskim, zbytkownym, klejnotom, sprzętom, kamieniom zechciało tylko zostać, trwałyby po dziś dzień w muzeum Imienia Fryderyka Chopina w Paryżu, które przezacna Szkotka pragnęła tam urządzić. Stałyby sobie za szkłem, czy poza ogrodzeniem dywanowego sznura, w dostojnym zanikaniu przypominając te cudne burze dźwięków, którymi dobry przyjaciel nasycał ich kamienne, drewniane i metalowe dusze.

Nie zgodziły się na to, orzekły co innego: nie chcemy więcej istnieć, nie będziemy!

Ludzie nic o tym nie wiedzący czynili jednak swoje.

A na co się to zdało? Rzeczy nie przekonali. Przewodziło im wtedy serce Fryderyka, które wyjęte z piersi stało się też przedmiotem.

O sercu postanowił sam Chopin, aby je zawieziono do Polski. Matka je przewoziła w sukniach, ukryte przed władzą rosyjską, bo jego serce, niesione jawnie, całą Ojczyznę mogłoby w jednej chwili zająć takim płomieniem, żeby się z tego płomienia rozlała krew daleko i szeroko.

Serce to, już nie źródło, już tylko przedmiot zbożny, sprawiło, że po namowach, sporach, wahaniach, różnych zwłokach wmurowano je, jakby zarządził sam: do świątyni, skąd już na wieki słyszy rozgwar rodzinnego miasta.

A wszystkie inne papiery, listy, książki i cudowności od króla francuskiego, od królowej angielskiej, od książąt i magnatów, a papiery nutowe, nad którymi Fryderyk spędzał swój nieśmiertelny czas tworząc, jako sam mówił żartobliwie, swoje *nudy pisane*, a jak my wiemy dziś — przeznaczenie muzyki?!

Nie masz na świecie pośród najlepszych ludzi zgody niezamąconej. Nie masz jej i wśród rzeczy, chociaż tak zacnie wychowanych jak te, które wychował Chopin. I tu się samowola okazała: kilka spinek, indyjski dzwonek z brązu, różaniec, kilka krzeseł, piękna szafka na buty, dwa zegarki, albumy, jakieś widoczki, lustro: uznały, że nie, że nie chcą ginąć, wolą zostać i trwać.

Więc ocalały samowolne i żałosne wyjątki. Ogół inaczej postanowił: zginął.

Jakże się to spełniło? Krewni spuściznę po Chopinie

przenosili, składali, niby to gromadzili. Całą skrzynię pełną projektów kompozycyj zostawili na strychu; a inne rzeczy w pokojach domu, na który dybał pożar. Gdy kraj Chopina podniósł się do nowego Powstania, wypełniło się wszystko.

Nie chcemy więcej istnieć, nie będziemy! Wszystkie nuty, wszystkie drewniane, kamienne i metalowe istoty Przyjaciela zgodnie razem spłonęły.

Najtrudniej przyszło wykonać przeznaczenie listom miłosnym Chopina. Najtrudniej w całym życiu było obojgu, i pani Sand i jemu, z tą bolesną miłością. Szła na przekór całego ich istnienia, wszystkich przekonań, wierzeń. Chociaż poprzez zerwanie trwała do końca dni, choć poprzez gniew i śmiertelną obrazę płonęła ogniem zatracenia, nie zdążyła się zniszczyć.

Jak błądzenie miłości tak i błądzenie listów. Wszystkie wpadły na celnej komorze w ręce rosyjskiej żandarmerii, która, jako papiery podejrzane, pisane w obcym języku, zatrzymała na pogranicznej stacji do zbadania. Zatrzymała, lecz zbadać zapomniała i wszystko najtajniejsze, najpoufniejsze z jego życia zostało w ręku władzy i ludzi, których nienawidził dozgonnie.

Więc leżą te papiery tutaj na żandarmskiej komorze kilka lat. Nigdy do dna nie wysłowiona, rażona tylu ciosami miłość, pośród raportów i doniesień szpiclowskich. Aż kiedy autor Damy Kameliowej, młody Dumas, jechał tamtędy i zatrzymali go z powodu formalności, i czekał, i nudził się na tej granicy, daje mu żandarm, ot dla zabicia czasu, wszystkie te zatrzymane listy obojga kochanków nie wiedząc czyje ani do kogo pisane.

I cóż sekret miłości?! Wszystko, co napisane, zostało przeczytane. Dumas wyjechał, listy zabrał, odesłał pani Sand. Kartka jedna po drugiej... Daty, słowa, pamiątki. Czasie niepowstrzymany, zawsze obecny, żywy, a jednak przeminiony. Czasie nie zachodzący nigdy, a zmierzchły już na zawsze. Nie wyczerpany nigdy, a zawsze bezpowrotny!

Ostatni raz słowa miłości waszej ogląda światło ognia, na wieki raz ostatni znalazły się przy sobie kartki waszego pisma. Gdy pani Sand wrzuciła je w płomienie, ujrzeli się zapewne ostatni raz na ziemi w łunach swojej udręczonej miłości.

Wiedziały listy jak postępować trzeba. A co postanowiły rzeczy, sprzęty, tkaniny natchnioną swoją wolą przedmiotową, to również wykonały.

Nie chcemy istnieć więcej, nie będziemy! Aby to, co największe, grało na zawsze samo, samo jedno, jedyne: nie wyczerpane nigdy, niczym nie tłumaczone, nigdy nie zastąpione: jedna tylko muzyka niech sama spełni wszystko.



NUDY PISANE

NUDY PISANE

Warszawska Biblioteka Narodowa mieści się w dawnym pałacu na ulicy Krakowskiego Przedmieścia. Z frontowych okien tej biblioteki widać uliczny ruch przechodniów, samochody i przejeżdżające w różnych kierunkach tramwaje. Można by nawet nie patrzyć, a i tak wiedziałoby się, kiedy mijają owe tramwaje. Pałac jest stary, a wewnątrz wyprawiony ozdobnie. Gdy sunie taka masa żelastwa, trzęsą się szkiełka weneckich żyrandoli, dygocą herbowe klamki, fotele wyleniałe zdają się mruczeć jak stare psy przez sen, a w kątach wiekowej posadzki rozlega się szelest szczególny, niczym zniecierpliwiony szept.

Wszystko to zresztą głuchnie zaraz, pochłonięte nieprzeliczoną obecnością książek.

Szukam dzisiaj w tej bibliotece działu muzycznego, bo przyszły tu już zza granicy rękopisy Chopina i można je obejrzeć. Dużo tych rękopisów i jedne z najważniejszych, skrypty przechowywane u wydawców. Osiem pieśni, obie sonaty, scherza, etiudy, mazurki, polonezy, nokturny.

Trzeba się zgłosić do pana docenta muzykologii, który urzęduje na pierwszym piętrze. Mijam wyrzeźbioną pięknie boginię, stojącą w głębi przedsion-

ka, i szerokimi schodami pałacu dążę na górę. Trzeba minąć jedną i drugą salę, a potem, jak to bywa w bibliotekach: ani to pokoje, ani korytarze, nie klatki i nie sale, a tylko jakieś uskoki wnętrza, pokryte drobną łuską złoconych tomów.

Młody pan docent muzykologii przeprowadza mnie dalej, do archiwum Pieśni Ludowej. Archiwum Pieśni Ludowej mało co się różni wyglądem od amunicyjnych rezerw artylerii: wzdłuż ścian aż po sufity same tylko puszki i walce metalowe, niczym armatnie pociski.

— Ha!—wołam—to tak wyglądają dziś zbiory pieśni ludowej! — Myślę zaś, że się na świecie toczą dziś rzeczy nieprzewidzianą zgoła i niepojętą koleją. Bo jakże to?! Szły wieki pomierzone latami, lata porami roku, a pory roku dniami, wszystko zaś pracą, cierpieniem i miłością człowieka. Miłość, praca, cierpienie w pieśni! Tu zaś głos owych pieśni, zestrojonych przez wieki, zawarto w małych puszkach metalowych. Już się pieśń nie odmieni, już jej wieki żłobić nie będą, taka sama pozostanie na zawsze...

Myślę o tym dosyć nieskładnie w szumie, w chrzęście papierów, które młody pan docent usypuje z szanownych teczek. Wzrok mój unikając wzruszenia zatrzymał się na flaszkach kollodiny, ustawionych na skraju stołu. Służą one zapewne do zaklejania puszek z płytami naszych pieśni ludowych.

Pomiędzy butelkami rozpościera się widok z bibliotecznego okna: biały mur, na nim gałąź akacji wznosi

się i opada wśród wiatru. Czarne, nagie gałęzie — jesień.

Jesień szumi powiędłym liściem. Cóż po człowieku zostaje? Szelest kartek papieru. Mam je tu przed oczyma. Młody docent układa jedną obok drugiej. Oto list Fryderyka do rodziców, gdy miał lat kilka.

— Widzi pan jakie pismo? Pismo dziecka, litery pełne, zażywne, starannie połączone. A to znów list z Paryża do Elsnera. To już list dorosłego człowieka. Niby ten sam charakter, ale jakaż różnica! Litery schudły i nabrały rozmachu, i nie są już łączone, lecz trzymają się razem same, poniesione jednolitym rozpędem dłoni. A tu pieśni, sonaty, koncerty, nokturny i mazurki, etiudy. Te wszystkie rękopisy winien był w swoim czasie odesłać do wydawcy. Może dlatego właśnie ocalały, że ich nie miał pod ręką i nie musiały dzielić losu całej jego puścizny. Nad wyraz dobrze przechowywano te papiery, a to już z górą ze sto lat, więc kawał czasu. Leżały w Lipsku u Breitkopfa i Haertla.

Breitkopf i Haertel to oczywiście wielki dom wydawniczy. Dzieci, które z nut przez ten dom wydawanych uczą się wszędzie muzyki w Europie środkowej, wyobrażają sobie, że jak u książkowego wydawcy zawsze liter bez końca w kasztach, skrzynkach i skrytkach, tak u wydawcy muzycznego bez końca zawsze tego czarnego śrutu, którego ileż trzeba, aby obsypać setki, tysiące stronic nutowego papieru?!

Gdy jako dziecko jeszcze studium muzyki zaczynałem od niemieckich klasyków, tłoczonych u Breitkopfa i Haertla, nieraz mi przychodziło do głowy, że dlatego

Niemcy mają tak duże wojsko, ponieważ i potrzeby żołnierzy i muzyki tym samym materiałem obgonić mogą: i do strzelania, i do nut drukowania tenże sam śrut potrzebny, a że bez liku tego u nich zawsze, więc i muzykę, i wojsko łatwo mogą wytwarzać.

U takiej to niemieckiej firmy Breitkopf i Haertel, obsypującej śrutem nutowym całe wieki muzyki, leżały owe polskie nuty Chopina z górą sto lat, nader starannie przechowane. W ciągu całego tego wieku zwalczali się wzajemnie Polacy z Niemcami, ale choć często na śmierć, nie poszli dalej aż za granice śmierci do niszczenia wieczności.

Bo cóż? Zwykły rękopis to tylko papier, na nim atramentowe znaki, słowa; jakaś tam treść tych słów, wszystko razem znikomość. Ale gdy znaki owe postawi ręka, wiedziona słuchem doskonałości, ale gdy serce, które się nad tym papierem pochylało, żyło harmonią wieszczą? Rękopis taki to dowód oczywisty wieczności, przemieszkującej w człowieku doczesnym.

Czeka tam u Breitkopfa i Haertla ów oczywisty dowód nieśmiertelności polskiej. Woda w Elsterze dawno już zapomniała, kiedy to się w niej książę Poniatowski pogrążył. Czas idzie, płynie, bieży, nastaje ciągle nowy, ciągle ten sam, ciągle niespodziewany. Co przekreślił, przywrócił, co zniszczył, znów odrobił. Teraz ci siedzą tu, a tamci z tamtej strony. Ci z tamtej strony tędy przejeżdżać pragną, przez Pomorze do dawnych swoich włości.

— Niechże jeżdżą, prosimy bardzo, tylko że za to trzeba przecież zapłacić — oświadczają Polacy.

Niemcy płacą, ale nie dają wszystkich pieniędzy na raz, jako że pieniądz, jak to zwyczajnie pieniądz, zawsze zalegać lubi.

Wtedy Polacy przypominają: — Jakże to będzie dalej, bo już jesteście winni.

Na to Niemcy:

— Dobrze, jesteśmy winni. Możecie brać maszyny za to, albo co upatrzycie z tego, co u nas jest, a co by was ucieszyć mogło, jako tkliwa pamiątka.

Na to Polacy, którzy po długim czasie klęski z powrotem w domach swoich osiedli, powiadają do Niemców:

— Maszyny, albo i nie maszyny. Za cząstkę tego, co się za to jeżdżenie i wożenie należy, kupimy rękopisy, co to wiecie, że leżą u was w Lipsku. Te szopenowskie.

Niemcy prowadzą dalej. — Co nazywacie cząstką z tego, co się od nas należy?

Na to Polacy:

— Jeśli myślicie o szopenowskich rękopisach, cząstka będzie zależna od stanu manuskryptów.

— Stan wyborny! — wołają Niemcy.

— Musimy to zobaczyć — powiadają Polacy. Co rzekłszy wysyłają specjalnego człowieka, który się pozna wszędzie na każdej nutce, jak i co napisane. Nie zagra, nie napisze sam, ale co inni napisali ma wszystko przepuszczone przez siebie, wszystkie nuty, jak mak przez sito przesypane, czyli że muzykolog.

Tenże sam, który teraz tu w Bibliotece Narodowej

z szanownych teczek rękopisy bezcenne na biurko usypuje. Pojechał, przypatrzył się: to przyznaje i to drugie przyznaje, i jeszcze to, i jeszcze te arkusze. Temu przyznaje wieczność, czyli że z szopenowskiej ręki powstało, czyli że się serce Chopina nad tym właśnie papierem w okrutnej trwodze twórczej trzepotało i że po tym papierze sunęła jego dłoń, słuchem wieczności pośród nut prowadzona.

Innym jednak papierom cnót takich nie przyznaje nasz muzykolog. Powiada — trudno, darmo, nic mnie zmylić nie może. To nie to.

Firma Breitkopf i Haertel za duża i za stara, za wiele już w swym życiu nutowym wydawała, żeby sobie docent mógł z nią poczynać od razu jak duch święty. Zapytuje więc firma ustami swoich ludzi doświadczonych: — Na jakiej pan podstawie mówisz podobne rzeczy?

Wtedy zaś muzykolog, jak to ludzie nauki, nie żeby zaraz obuchem walnął, tylko po jednym słówku, po kropelce wymierza, wiadomo zaś, że po jednej kropelce, niech tylko regularnie, to i samemu mamutowi głowę wydrążyć można.

Muzykolog tłumaczy: — To jest nie to, gdyż tu wszędzie wszystkie ćwiartki, szesnastki, widzicie, jak mają położone ogonki! Jak mają spadać te ogonki? Od wewnętrznej, czyli też od zewnętrznej strony tych ćwiartek, czy szesnastek?!

Patrzą w skupieniu wszyscy, gdyż się różnych dowodów spodziewali, ale nie o ogonkach; więc teraz patrzą

i stwierdzają uważnie, którędy od napisanych nutek upadają ogonki? Od wewnątrz, czy od zewnątrz?

Upadać mają od zewnętrznej strony, czyli z punktu widzenia patrzącego na rękopis człowieka mają upadać zawsze na prawą stronę.

Taką miała cechę szczególną pisanina Chopina.

To jest jedno. A drugie? Drugie to sam kształt kropki nutowej, która u każdego muzyka jest rozmaitej formy. Czarna śrucinka, wyobrażająca ćwiartkę, ósemkę, czy szesnastkę: u Wagnera będzie zawsze jak drukowana i ma w sobie okrągłość, która prawie tłustością zatrąca, u Mozarta kropka atramentowa jest prawie że haczykiem, a szopenowska drobna, zwięzła, jakby dla gwintowanego instrumentu współczesnego, gdyby ktoś instrumenty z współczesną bronią porównywał. Coś niby jakby w każdej takiej czarnej, drobniutkiej kropce była zawarta energia obrotowa. Dodać do tego filozofię wszelakich pauz... To cała filozofia przecież, by tak milczeć, iżby milczenie nie było pustką, lecz wzmocnionym działaniem. Ileż tych pauz w Chopinie, że gdy zatrzymał muzykę, wiadomo, iż muzyka jeszcze głębiej przeniknie. Taki też mają kształt pauzy szopenowskie na nutowym papierze: zdają się błyszczeć na pięcioliniach, jak gdyby wyrobione ze szmelcowanej stali.

Jak to tam podczas takich badań było owym papierom szopenowskim, Polonezom, Koncertom, Scherzom, Sonatom i Mazurkom! Okropna rzecz. Sto lat temu pod piórem Fryderyka stawały się wcieleniem tańca, szczęścia, rozpaczy, piękności i Ojczyzny, a tu leżą

obecnie niby dokument jakiś notarialny. Dowód wiecznego ducha człowieczego opisany sądownie.

Wielki los, wielki zaszczyt.

Sto lat temu pożałowali pięciu tysięcy złotych, by sobie, jako młody człowieczek, pozwiedzał obce kraje, a teraz do takiego obcego kraju wysłali uczonego, ze dwakroć sto tysięcy dadzą za te papiery, wystudiowali ogonki, kropki, pauzy, ligatury, literki. Serce jego umarłe wracało tajnie do ojczystego domu, schowane w sukniach matki, a teraz o papiery nutowe, o te, jak sam był mawiał, *nudy pisane,* ministerstwa do siebie piszą, numerowane akty pomnażają żarliwie, o tych aktach gazetom rozgłaszają, cała ludność się cieszy, w żelaznych sejfach ważą na kilo pisaną nieśmiertelność, ledwie przybyła do Biblioteki Narodowej, zaraz ją zamykają.

Toż to tędy po Krakowskim Przedmieściu z tymi samymi papierami chodził do Konserwatorium. Kładł te arkusze gdzie bądź pod oknem w klasie, czy u znajomych w salonie na kominku; teraz bez pozwolenia samych panów ministrów ani jedna karteczka, ani jeden mazurek, choćby najkrótszy, choćby ośmiotaktowy, nie opuści swej skrytki.

Możeż być większy tryumf?!

Mówi się często i marzy o minionym: o sprawach, losach, wydarzeniach, osobach... Co by też powiedziały osoby, gdyby powrócić mogły? Co by uczynił Chopin, gdyby zobaczył te swoje rękopisy pośród takich honorów? Przeprosiłby pewno najgrzeczniej i zażądał z powrotem swoich nut, gdyż musi tam poprawić jeszcze to, tamto, owo. Poprawiał przecież zawsze. Choć tak skończenie piękne, dla niego przecież ciągle było niedoskonałe.

Co by powiedział mistrzom, którzy z papierów tych, jak gdyby z ewangelii, głosili piękno tonów? Jak napisane, tak to mistrzowie grają, nutka w nutkę, takt w takt. Jeżeli ta muzyka pisana była krwią, pisana była samą ojczyzną polską, Paderewski gra tę muzykę samą krwią polskiej ziemi. Jeżeli ta muzyka pisana była doskonałą uwagą, Hoffman gra tę muzykę uwagą, zda się, nadprzyrodzoną. Jeżeli zaś pośród tych tonów rzecz najpierwsza jest wdzięk i ogień, Rubinstein taką wiarę szerzy po świecie o tych pismach. Jeśli w tych nutach miara francuska powstrzymywała uczucia rozpętane, Cortot gra taką miarę. Niemcy z wielkim Busonim mogliby rzec: Ani jednego tonu więcej, ani jednego mniej. My zawsze tacy, ale to jest najtrwalsze. Rosjanie zaś z swoim Rachmaninowem mogą otwarcie wyznać: — Nikt nam tak nie potrafił przebaczyć, jak ten, który nas uczył. Tyś nas uczył najlepiej. Twoje papiery tutaj w tej bibliotece to najszczytniejsze, wieczyste przebaczenie.

Wielki to los autora: grają go może lepiej, niźliby sam potrafił? Tu oto leży tekst, każda nutka zamknięta w ciemnym stalowym sejfie trwa spokojnie, że jej nie zmienią, że ją wydzwonią ci mistrze jak należy: każdy łuk ligatury spokojny w swym zarysie, każda pauza pewna swego milczenia, każdy tryl — tyle ma ziarna, ile mu przepisane.

Błogie ma życie tekst, gdy go mistrzowie grają, spokojny o swą treść, ozdobę, o milczenie. Czy jednak spokój taki nie zagraża martotą? Jakież życie tego samego tekstu, gdy go pochwycą czarne od atramentu palce młodziutkiej dziewczyniny, której się zdaje od wczoraj, że pokochała na wieki profesora fizyki?

Jakiż los tekstu, gdy go w górach, przed samą bitwą, przebębni żołnierz, tam nad stawem, we dworze, któremu to dworowi działa już oderwały dach i zawaliły balkon? Jakiż to los tych nut, które gra tam nad fiordem żona pastora, które gra w Niemczech właśnie w Cottbus pan rejent, a przy szpitalu dla górników pod Lille stara nauczycielka, a w New Yorku zagnany tam Rosjanin, jakiś były pułkownik, a w Teheranie zdradzony przez swą żonę Pers, właściciel szkoły tańca, a w garnizonie pod Równem młody kawalerzysta?...

Jakiż to los tych tekstów pod palcami wyznawców, którzy się tak przejęli muzyką szopenowską, że im na klawiaturze drętwieją palce ze wzruszenia, a przegub dłoni z rozmachu kamienieje. Olśnieni cudem myśli muzycznej, pedału puścić zapomnieli, z muzyki szum powstaje, istny czad się podnosi. Jakiż los tej harmonii, gdy wielbiciel tak się nią przejął, że w klawiaturę bije niczym w skałę, by z niej trysnęło wreszcie to cudne objawienie...

Los największy! Większy niż w ogniotrwałych skrytkach biblioteki, większy niż pod palcami genialnych wirtuozów. Los największy, jedyny!

Dążyć i dążyć, mylić się, błądzić i wzruszać nieustannie. W takim wzruszeniu tracić piękno i formę, i harmonię, i ład, co dzień robotę zaczynać od początku, do końca zdążyć nie móc i bez tchu, sercem milionów ludzi przez lat dziesiątki, setki, padać u stóp niespełnionego ideału.

Taka to nieśmiertelność szopenowskich *nudów pisanych:* nie ustająca praca ofiarnego wzruszenia.

PRZED WELLINGTONEM

PRZED WELLINGTONEM

Wielki polonez rozwija się w fanfarach wstrząsając nawałnicą akordów. Godność i duma mienią się tonem jak drogocenne kamienie blaskiem tęczowym. Co tam godność i duma? Chwała, gloria, po trzykroć gloria! Sama gloria w zamkach, pałacach, dworzyszczach, makatach i kryształach, w safianach, adamaszkach, pasach litych, w sygnetach, kierezjach, czaplich kitach, w szczęku srebra, w podźwiękach złota!

Twoja gloria od ziemi aż po niebo, boś szlachcic, pan, pan brat, za pan brat z samą Ojczyzną w tym oto polonezie. Z zamczysk, pałaców, dworów, w których wydaje ci się, że gdy polonezowym krokiem suniesz, to już Ojczyznę za rączkę najłaskawszą prowadzisz, z tych dworów widzisz rozmiary pól. Dolata stamtąd głos nieoczekiwany... Boś sądził tutaj zabierać głos za wszystko i za wszystkich, atoli przez potężne fanfary poloneza przenika tamten głos...

Spłoszony, zadyszany, boleśnie zadumany... Zdaje ci się, że raduje się chyba, a przecie jakby płakał. Słyszysz, że chyba śpiewa — lecz śpiewa, czy ucieka?... Trwa — już go nie ma, brzmi czy zanika, cieszy się czy rozpacza? Pajęczyna to tylko, czyli też pęd melodii?

Ucieczka czy też pogoń zmylona, zguba czy też odnalezienie?

To właśnie drugi taniec, biedny brat poloneza, mazurek, którego jest urodą najdziwniejszą, że wszystko, co przemyśli, co odczuje, odnajdzie, straci — wszystko kryjomo, chyłkiem sprawiać będzie, jakby zawsze pod grozą, jakby tylko niechcący, jakby tylko ukradkiem, chociaż to, o czym ukradkiem śpiewa, jest całym życiem. Mazurek, każdym własnym uczuciem wystraszony, każdym szczęściem spłoszony, rozkwitły i stulony, objawiony a zarazem zamknięty. Taki tam sobie niby taniec w międzyczasie wszystkiego ważniejszego...

Oto są tańce, polonez i mazurek szopenowski, w których wysławia się do dna tragiczna sprawa polska. Na nieśmiertelnej drodze muzyki szopenowskiej te dwa tańce dalekie, bliskie, coraz bliżej, w najgłębszej swej osnowie szukające braterstwa.

Polonez tu prowadzi, czy mazurek rozwija sprawę? Polonez w pielgrzymce tej okrywa się żałobą, porzuca chwałę, woła głosem rozpaczy, chyli się sklepieniami kadencji nad padołem pokuty, boleje, opleciony jak pnączem, wystraszonym porywem mazurka.

Tak szły te tańce dwa przez całą twórczość szopenowską, jak owe sprawy szlachecka i ludowa przez cały polski los. Chopin niósł owe sprawy w amforach swej muzyki, w tych dwóch formach tanecznych. Pobili już Polaków, ziemię zabrali, już o czym innym myśleli na szerokim świecie i już nowe ważyli prawdy, i nową sprawiedliwość tkali, ale Chopin przypominał nieustannie tamtą bolesną sprawę i w polskich formach tanecznych tonami grozy, żalu, prostoty rozważał los narodu swego, los wolności między sprawiedliwością, miłością i przemocą.

Czy zwierzał się, że tak rozumie oną rzecz? Po cóż miał słów używać, skoro tworzył w muzyce. Czy ludzie, którzy słuchali go, rozumieli jaka ważność tkwi w takim tworzeniu? Rozumieli częściowo artyści. Liszt szukał źródeł polonezów szopenowskich w dziejach polskiego rycerstwa. Najlepiej może ze wszystkich ujmował sprawę Schumann. Wołał przecież: — To są ukryte w kwiatach działa! — Czy rozumieli jednak, że w tej muzyce, dziwnym zrządzeniem geniusza, los pobitego narodu przekształca się w uroczą wiosnę, w odrodzenie marzenia narodów Europy, że z tej muzyki wystrzela bohaterska śmiałość wyzwolenia?!

Chodzili koło Chopina zawsze niepewni, owiani czarem, a równocześnie zmyleni skromnością tego człowieka, który wśród zgiełku, huku epoki przemijał, jak zjawisko wyjątkowe, lecz oderwane, lecz jakoby uboczne. W tym, jak powiadam, zgiełku i huku epoki, a więc w roku 1848, przybył Chopin do Anglii.

Strącona gniewem ludu z tronów, wyrzucona z pałaców czekała tu właśnie na odwrócenie karty losu mnoga rzesza złocistych emigrantów z całej Europy, władców, królów, książąt, magnatów i bogaczów. Pragnęli tu przeczekać, aż się ustoi i osiądzie gniew ludu, i stąd pragnęli wrócić na swe trony, które już raz ocaliła im Anglia gromiąc na polach Waterloo wielkiego Wodza Francuzów.

Wpośród wielu artystów, którzy przybyli do Anglii,

aby sztuką zabawić i pocieszyć bezrobotnych monarchów, zjawił się był i Chopin. Umyślił sobie, że zbije tu duże pieniądze, pospłaca długi, a potem odpocznie. Nie wiedział, że za kilka miesięcy czeka go już wieczysty odpoczynek. Nie wiedział, że bezmierne zmęczenie, które ogarniało go teraz, to już ostatnia zapowiedź wiecznego odpoczynku, o który tyle razy domagała się tkliwie jego muzyka.

W takich to gospodarskich, ludzkich zamiarach przybył do Anglii Chopin ziemski, wirtuoz znakomity, jeden z najmodniejszych nauczycieli modnej wówczas gry na fortepianie. Ale ów Chopin nieśmiertelny, nad którym pochylała się prawda wiecznego powołania, miał tu jeszcze dopełnić kilku spraw innych, odbyć jeszcze innych kilka spotkań, jakie wielcy ludzie odbywają na brzegu powszedniego życia naznaczając to życie powszednie urokami wieczności.

Tak się i teraz działo z Chopinem w Londynie. Przyjechał tu, jak sądził, zarabiać, oczarować szanowną publikę królów, książąt, królowych, księżnych, premierów i bankierów, wodzów, ministrów i najmożniejszych potentatów ówczesnego świata. Ale gdy się już zetknął z tymi środowiskami, odechciało mu się wszystkiego nagle.

Zamiast zarabiać, starać się, krzątać, kłaniać, począł się niecierpliwić, zżymać i gniewać. Miał już grać w Filharmonii londyńskiej, ale nie podpisał kontraktu, nie dano bowiem mistrzowi dostatecznej ilości prób. A znów gdzie indziej u jakowychś znacznych wielmożów nie chciał grać, gdyż nie mieli takiego fortepianu, jaki dogadzał Chopinowi. A znów gdzie indziej nie chciał się zgodzić i ostatecznie odmówił, niby to że mu będą przeszkadzały rozmaite balowe dystrakcje i gra w karty, i tańce, i w ogóle hałasy.

Gdy jednak swoich tu spotkał w Londynie, tych swoich ludzi spod znaku Mazurka Dąbrowskiego, och, wtedy, dla nich, z nimi! Z nimi wszystko najlepsze, z nimi najmilsze wszystko, dla nich na piętra wspinać się, na czwarte, piąte, szóste, nic mu to nie szkodziło. I że mu piersi rozsadzał kaszel na ciemnych, krętych schodach, i że te żołnierzyska kurzyły wiecznie fajki, od których brały mdłości pana Fryderyka, i że pewno gadali, chrząkali podczas jego muzyki, i że go zanudzali, aby im grał do tańca...

Naturalnie, że grał, ach, ile tylko chcieli!

Tu w Londynie spotkał byłych żołnierzy powstania 1831 roku, starych wiarusów, którzy po nieszczęśliwej kampanii klepali w Anglii biedę zakładając z przezacnym żołnierzem tegoż powstania, hrabią Worcellem, natchnione wspólnoty socjalistyczne. Zakładali wspólnoty, świat w planach swoich przerabiali a zarazem patrzyli, jak życie, niby nurt niewstrzymany, znosi ich coraz dalej i dalej od granic ukochanej ojczyzny.

Wśród tych starych wiarusów spod Grochowa, Iganiów, Ostrołęki zakwitał nie ów ziemski, salonowy, zakwitał Chopin wieczny, skromny, cierpliwy, kochający, nieśmiertelny muzykant tego wojska i boju, i sprawy. Musiał ich był w ostatniej ziemskiej wędrówce spotkać jeszcze, musiał był ich ucieszyć, choć raz jeszcze przylgnąć do tego właśnie źródła, z którego pierwszy sław-

ny mazurek wyleciał na świat cały; musiał był Chopin przyłożyć ucho raz jeszcze do piersi tego boju, którego sens tragiczny przejęła muzyka szopenowska w każdą nutę, że każda nabrała ceny bohaterstwa i krwi.

Fryderyk Chopin, muzykant tych żołnierzy roztkliwiony, łagodny, jakże inaczej szedł grać w pierwszym salonie Anglii u księżnej Sutherland.

Już się zebrali... Pierwsze miejsce zajęła królowa Anglii, obok niej roje książąt, mężowie stanu, ministrowie, działacze, uczeni. Czekają. Naprzeciw zgromadzonej elity wysuwa się z złocistej ciżby człowieczek nikły, ledwie średniego wzrostu, blondyn o ciemnoszarych, utrudzonych oczach.

To Chopin. Już przeszedł salę, usiadł do instrumentu. Cały ten świat potężnych władców milknie. Naprzeciw fortepianu, tuż przy boku królowej Wiktorii, stoi jakiś wojskowy. Z szacunku, jakim go otaczają wszyscy, można się łatwo domyślić, że to jedna z najważniejszych postaci zebrania. Naprzeciw fortepianu, obok królowej Wiktorii, stoi przecież zwycięzca Napoleona w bitwie o panowanie nad światem. Spiżowy Książę, „le Prince d'Airain", wódz koalicji cesarzów, generał Wellington.

To on rozbił Francuzów, to on skruszył błyskawicowe ostrze Wielkiej Rewolucji, to on zadeptał czworobokami swej piechoty wolność tylu narodów.

Chopin już gra. Gra tu swoje mazurki. I cóż królowa, i cóż wódz koalicji cesarzów, i cóż ta wszystka przemoc? Czy rozumiecie, jaśnie wielmożni, władni, wszechmocni państwo? Oto jeden ze zwyciężonych narodów zwycięża was sercem artysty. Oto jeden z narodów zwy-

ciężonych zwycięża was wieczystym swoim pięknem. Coście zadeptać chcieli, rozkwita znów natchnieniem.

Bo cóż natchnienie może, a co przemoc?... Z natchnienia strzelają nowe pędy radości po całym świecie, jak długi i szeroki. Z przemocy rośnie krzywda i grzech. Chopin wśród was, Chopin w waszym pałacu, toż to Daniel w jaskini lwów, promienny mściciel, który wszystko, co mu zabrali, oddał pięknem po stokroć, tryumfator, który z śmiertelnych smutków stworzył pociechę świata.

Królowa Anglii Wiktoria, śpiżowy książę Wellington, jaśnie oświecona księżna Sutherland, koronowane głowy, panowie świata! Gdzież oni wszyscy w wieczystych zachodach przemijania, i gdzież ich sprawy, i gdzież kule ich milionowych armii wobec malutkich czarnych kropek atramentu, którymi napisana została ta muzyka?

Po jej stronie zwycięstwo!



HARMONIA

HARMONIA

Jakaż jest ta harmonia Chopina — pytałem pianistów i kompozytorów. Bo cóż, że sam dowodnie o tym opowiedzieć nie zdołam. Oni, odtwórcy, kompozytorzy, przez których tchnienie akordów szopenowskich przepływa nieustannie, powiedzą o tym lepiej. Lecz gdy ich o to zagabniesz, jakbyś zagadnął człowieka pogrążonego w sprawach życia o życie samo.

Pytasz: powiedzże mi, człowieku umotany w tych wszystkich ważnych sprawach życiowych, czym jest życie? Cóż odpowie? Jeżeli szczery, westchnie i, mimo że doświadczonym się wydawał, ręce tylko rozłoży.

Tu jesteśmy, ani jednego kroku nie uszliśmy stąd naprzód, od czasu kiedy się nam harmonia Chopina objawiła. Stoimy niby wokoło źródła. Bije swą czarodziejską siłą, blaski, głosy, poszepty, dźwięki przeróżne splata od dna niezbadanego ku powierzchni uroczej. Poznaliśmy już wszystkie przeloty świateł i każde ćmienie cienia. Zapamiętaliśmy dźwięk wszystkich kropel i gdzie toń ciszą dzwoni, i gdzie świegotem rozperla się, i gdzie w westchnieniach niknie. Słuchamy i patrzymy, i wciąż nie wiemy nic, i tylko ręce bezradnie rozkładamy, owładnięci tym czarem.

Więc mielibyśmy nie wiedzieć, nie rozumieć co nas zachwyca, mimo że wyrażone to zostało znakami, któ-

re układa się wyraźnie jeden przy drugim na równoległych liniach jak na kracie, a każdy z znaków owych zawiera jak wysoko ma brzmieć, czy też jak nisko i jak długo ma trwać?!

Zbadajmy znaki, zbadajmyż pismo, którym utrwalamy muzykę: pismo nam powie wiele o harmonii, harmonia zdradzi może tajemnicę harmonii Chopina...

Patrzmy na kartkę nutowego papieru, którą zasnuł swym pismem muzyk. Czy owa kartka przejęta w poprzek wiązkami pięciolinii, rozgrodzonych na pomierne ustępy, więc takty, czyż owa kartka, przepleciona wiązkami pięciolinii, na których jakby nabito czarnych drobniutkich gwoździ, nie wygląda niczym krata misterna?

Krata, sito, sieć drobnooka?

Tak to wygląda i wie dlaczego. Gdyż przedmiot pracy, mający wyrazić to, co mu powierzono, wyraża zawsze wiernie: owa kartka, pismo muzyczne, na liniach rozsnute kluczami i znakami opatrzone, to krata, przez którą kompozytor każe przepływać głosom przestrzeni. Jakie głosy zaznaczył nutą na pięciolinii, te się mają odezwać; a gdzie nic nie naznaczył, tam przestrzeń wionie milczeniem. Kartka ta, owo pismo muzyczne, to jest krata, przez którą mijać mają lub zatrzymać się winny głosy powietrznych światów. Krata, przemyślna sieć, w której mają grać tonem dźwięki przestworów.

Dźwięki świata mają tu zagrać tonem. A tak! Bo przecież świat ten nie znał tonów, dźwiękami tylko żył. Dźwięk to materia, jej duszą ton muzyki. Ton muzyki jak brzmienie mowy, jak kanwa myśli ludzkiej, posiada swą budowę. A gdy budowa, to zależność, równowaga

i układ. Ileż wieków, ileż czujności, jakiego słuchu i jakiego marzenia, jakich trosk i radości, walk, doświadczeń, porównań ogromnych trzeba było, by zestroiła się mowa wielkich pni człowieczeństwa, z którego wystrzeliły konary ras i przedziwne gałęzie narodów!

Ileż wieków, ileż doświadczeń, byśmy stworzyć zdołali muzyczną treść, którą płynie żywioł dźwięku osiadając na pięciolinii tonami wzoru duchowego!

Duchowy wzór rozgłosu świata, czyli układ muzyczny tonów, to zasada harmonii. Harmonia! Osobliwe myślenie i odczuwanie nie za pomocą słowa, ujmującego rzecz, lecz myślenie falami powietrza, przetworzonego we wzór samoistny, myślenie falami powietrza, wyniesionego do majestatu tonów.

Ileż układów tych rozkwitło i zginęło, rozwiało się w przestrzeni na zawsze. Wiemy, że w Azji snują się jeszcze pięciotonowe układy, czyli gamy wschodnie; wiemy, że tuła się po całym świecie z cyganami ich gama cygańska. W Europie uciekliśmy się do ośmiotonowego układu, którym władali już swobodnie starzy Grecy.

Osiem tonów, osiem stopni, trwających obok siebie w określonym porządku. Kiedy na piątym z nich wysnujesz osiem dalszych, jeden tylko znak dodasz i już masz układ taki sam, jak ów pierwszy. Gdy w tym nowym układzie znów od piątego stopnia rozwiniesz osiem tonów ułożonych na wzór poprzedni, znów tylko siódmy stopień podwyższysz, byś otrzymał porządek taki sam.

Cóż to znaczy podwyższyć któryś stopień? To znaczy przyśpieszyć jego powietrzne drgania. Wznieść, jeśli

idziesz w górę; obniżyć o pół tonu, jeśli zstępujesz w budowie swych systemów co pięć stopni w dół. Stawiasz znak odpowiedni i przyśpieszasz lub zwalniasz drgania tonów. W osnowie swej pozostały czym były, tylko w nie tchnąłeś dążenie ku przemianom. To dążenie wcielone w ton, opisywane znakiem (krzyżykiem lub bemolem), zwane w muzyce chromatyką, porusza całą budowlę tonów. Możesz ją wznosić, zniżać, modulować kontury, zaostrzać lub łagodzić. To dążenie wcielone w ton sprawia, że swą harmonię niby pałac powietrzny przenosić możesz uskrzydliwszy znakami chromatyki ze sfery w sferę, z głuchych nizin aż ku zenitom.

To dążenie wcielone w ton pozwoli ci muzyczną myśl, czyli melodię, wyginać jak zapragniesz. Będziesz mógł sprężać ją niby wiklinę. Co mówię?! Będziesz mógł wiązać i rozwiązywać swą myśl muzyczną niczym promienie światła. Ale gdy zechcesz, aby myśl twoja, czyli melodia, miała pod sobą głębię i miała dno, żeby płynęła czy to prując swym blaskiem mroczne głębiny, czy ciemną smugą przenikając zalewy i jasności, musisz potworzyć owe głębie, zalewy i jasności. To są akordy właśnie budowane na stopniach gamy, wielopiętrowe wieże tonów, tajemnicze budowle, które sprawiają, że melodia przestała trwać samotnie, lecz grąży się w współbrzmieniach.

Akordy, uczynione ze współbrzmienia tonów, to harmonia, święte ciało muzyki.

Akordy rozchodzą się stopniami gam, coraz wyżej i coraz niżej, aż póki gamy owe, niby drogi, nie zejdą się formując koło, zwane w praktyce muzycznej okręgiem kwintowym. W środku tego okręgu trwa muzyk; natchnieniem swym obraca koło harmonii stopniami w dół lub w górę, ażeby myśl, czyli melodia, doświadczyć mogła wszelkiej odmiany brzmień.

Jak w życiu: od początku przez wszystkie doświadczenia do końca, który przecież jedna się z początkiem. Tak obracali owym kołem z pokolenia na pokolenie wielcy geniusze. Trzeszczało ono boskim hałasem w ręku Jana Sebastiana Bacha. Mozart pośród stopni owego koła układał się gdzie bądź jak dziecko, spoczywające na podobieństwo słonecznego promienia między stosami dźwięcznych kluczów i znaków. Beethoven tłukł się po stopniach harmonii jak w więzieniu. Z wielkim gniewem przekręcał klucze brzmień, jak skały ciskał tonacje na tonacje, walił ciężarem wyznań niby pięścią w eteryczną ścianę harmonii, lecz dostrzec tutaj nowych zadatków nie potrafił.

Aż przyszedł Chopin, nieomylny wynalazca, zarazem pilny nauczyciel nowej muzyki świata. Jeżeli inni obracali koło muzyki tradycyjnym porządkiem, gdyż wierzyli, że inaczej rozpryśnie się im w ręku, Chopin sprawił, że w jego ręku całe koło harmonii muzycznej utraciło przyrodzone opory. Gdy inni za imadła chwytali oburącz, gdy inni podkręcali raz po raz dziesięcioma kluczami, on palcem tknął, dmuchnął lekkim oddechem i już tęczowe koło harmonii kręciło się jak chciał.

Gdy inni swą melodią wędrowali przystając zawsze na uświęconych obyczajem rozstajach, on po wszelakich stopniach latał na skrzydłach cudowności. Gdy inni wymierzali, on ogarniał od razu, gdy inni szukali od-

miany, on sam był tu przemianą nieustanną, która przestała być ozdobą, lecz jawiła się treścią.

Okręg kwintowy, a więc ustanowiony od wieków ład następstw harmonii, zawirował z niezmierzoną łatwością w ręku tego muzyka i w swych obrotach uwił tęczę nowych zespołów tonu. Ten rój wiosenny, rój szopenowskich znaków chromatycznych (krzyżyków i bemoli) upadł na kratę nutowej pięciolinii ożywiając jej wzór, tworząc nowe żłobiny, dziergając nowe brzegi, rodząc nowe zakątki prądów, nową strzelistość zderzeń niespodziewanych.

Jak się to stało? Nie wiem. I nie wie nikt. Może Chopin rozumiał inaczej, po swojemu, inaczej niźli wszyscy, co wyraża każdy znak poszczególny muzyki? Może rozumiał, że tony to nie tony, ale raczej kryształy, które się osadzają wzdłuż tajemniczych osi; a kierunku tych osi nikt dotąd nie podpatrzył? A może Chopin wiedział, jakoś tam po swojemu, że tony to nie tony, a tylko ptaki chmurą lecące i że potrzeba wołać na nie, płoszyć je jakimś głosem, którego nikt nie umiał dotąd użyć?

A może Chopin wiedział, że tony wyrastają w duszy muzyka jako lasy ogromne, które straszliwym wichrem bolesnych przemian szarpać trzeba i wstrząsać? Jak tworzył swe harmonie, że umiał na jednym drobnym znaku, niby na kruchej słomce, wielkie pałace brzmień przenosić ze stropu nieba na samo dno wydźwięku? Jak sprawiał, że się mieniło to wszystko, niby gołębie niespodziewanie odwrócone w swym locie, że się to przetwarzało, dzięki dwóm lub trzem taktom modulacji, z radości w rozpacz, czy z rozpaczy w zwycięstwo?!

I jakże w końcu, mimo że już od tylu wieków określone zostało każde miejsce harmonii, umiał wychodzić za wszystkie znane miejsca i porzuciwszy wszelką wygodę kluczy, i wystrzeliwszy z wszelkiej przemiany znaków wychodził poza normę tonacji, więc jakby poza normę logiki! Wędrował sobie sam do tych jakichś uroczysk upragnionych, najświętszych, które nie znały dotąd swego miejsca w muzyce, których nie podobna określić, które są poza wyrozumieniem porządku i dążenia, które są poza drogą i bezdrożem, poza przybyciem, odejściem, znalezieniem, które są nigdzie już, to znaczy w niedościgłej samotności geniusza.

Jedno jest pewne: że ta władza, że czar niewyczerpany w mieszaniu tonów, że ta anielska zręczność ułatwiła niezmiernie prawdę muzycznego wypowiadania uczuć. Duchowy wzór rozgłosu świata, czyli układ muzycznych tonów, czyli harmonia w ręku Chopina zdoła wyrazić więcej, niż to zdołali dotąd poprzednicy. Więcej w znaczeniu uczuć nie wysłowionych dotąd, jako że nie mogących dotąd wyrażać się taką zmiennością, taką czułą powiewnością współbrzmienia.

Harmonia szopenowska dopuściła do kręgu muzyki rozległe światy nowych uczuć. Kto nie wierzy, niech wspomni przedszopenowskie formy: scherza, nokturny, walce. Od wszystkich dawnych scherz do tych Chopina, które tańczą w zaświatach! Od nokturnów salonu do szopenowskich, w których natchnienie staje się odku-

pieniem. Od wszystkich walców poprzednich do szopenowskich, które się stają samym uśmiechem miłości.

To szopenowska harmonia otworzyła krąg muzyki potężnym światom nowych spowiedzi narodowych. Dzięki harmonii tej stary polonez (alla polacca) nabrzmiał karmazynem tragicznej krwi, polotny zaś mazurek, wysnuty z rozdeptanej przemocą niziny polskiej, stał się promienną ewangelią odrodzenia etnicznego całej muzyki świata.

Chopin to od epoki Jana Sebastiana Bacha nie spotykana znowu radość, rozkwit, wzlot, szaleństwo harmonii a zarazem nauka jej jak najczujniejsza. Stare klucze skruszone i dawne, wyślizgane ręką starych mistrzów imadła harmonii już zgoła niepotrzebne! Porównał stare z nowym, nauczył świat muzyczny kroczyć drogą przyszłości i wzmógł bogactwo uczuć a we wszystko tchnął łatwością niebiańską. Pod jego ręką wyskoczyła harmonia z dawnych rdzewiejących obręczy, rozprysła się po świecie całym nowa, już dalej ciągle różna, nowsza, najnowsza, bo zawsze ciągle z niego we wszystkich, w Wagnerze, Brahmsie, Debussym, Szymanowskim, Strawińskim, we Francuzach, Niemcach, Hiszpanach, z niego na całym świecie.

Czym coś określił wyraźniej, prócz zachwytu? Nic prócz zachwytu. Więc niedowiarek zatrzyma mnie w zachwycie tym i powie: udowodnij na czym polega nowość owej harmonii. Nie udowodnię nic, mogę tylko dać dobrą radę sumiennym niedowiarkom. Niech słuchają Chopina. Jak między swe melodie, jak pomiędzy harmonie wplata ten mistrz swą ciszę. Poprzez harmonię uważajcie na ciszę, której wam słuchać każe, gdy pośród pięciolinij znaki milczenia kładzie. Słuchajcie, jak was nagle opuszcza i samych sobie zostawia. Ile tam jeszcze poza tonami w nagłych ciszach Chopina niewysłowionej mowy muzycznej, ile głosu zdaje się czekać jeszcze głębiej i głębiej za wyśpiewaną harmonią...

Bo harmonia jego to tylko brzeg. Tylko obramowanie głębi, z której brał, lecz której, jako geniusz niewyczerpany, nie mógł wybrać aż do dna.

Płynąć poprzez te fale, wsłuchiwać się w to morze, coraz usilniej patrzeć poprzez tęczę harmonii, za którą odszedł od nas, to go znów wołać pomiędzy nas i jeszcze raz przebiegać z nim przez jego błogie kraje, aż ku tym źródłom wieczystego milczenia, które ogrodził czarowną swą muzyką.



SZTUKA FORTEPIANOWA CHOPINA

SZTUKA FORTEPIANOWA CHOPINA

Nie masz chyba dziwniejszej, czulszej, wdzięczniejszej rzeczy na świecie od instrumentu muzycznego. Spojrzeć tylko na skrzypce! Kadłubek z dwóch deseczek, ściśnięty w pasie; z kadłubka szyja wystercza czarna, nieobrotna, zakończona jakgdyby głową węża. Przez szyję ową przebiegają cztery cieniutkie struny. Do tego w drugim ręku trzymasz smyczek, na pręcie delikatnie wygiętym pęk włosia.

Szukaj czegoś czulszego po świecie: upuścisz, jużeś rozbił na zawsze; palcami po strunach przebierasz niewłaściwie, smyczkiem niechby o jeden włos nacisnąłeś zbyt mocno i gdzież staruch, schorzelec jaki, któryby stękał jak skrzypce w ręku nie dość czułym? Ale zażywaj ich, jak lubią, na naprężonej strunie wybieraj miejsce tonów, upatrzone tokiem melodii, ale wiedź smyczkiem, ile strunom potrzeba, ażeby mogły śpiewać— cóż spotkasz wdzięczniejszego na świecie! Masz w ręku śpiew i świegot ptaka.

A flet, klarnet i wszystkie inne piszczałki, dudki i fujarki drewniane? Wygląda to jak patyk, od jednej strony żądłem, od drugiej półokrągłym uchem zakończony. Dmuchasz w żądło, uchem patyka wylata głos, mówiący wszystko o duszy drzewa wszelakiego, jakie może mieć sprawy rozliczne, jaką wesołość skoczną i jaki

smutek wielki. Z głosu takiej piszczałki wysnujesz las i drzewo, i gąszcze, i wikliny, i chyba nawet ptaków się domyślisz, które by w gąszczu owym i drzewach mieszkać mogły.

Trąby wszelakie wiadomo, że z metalu; wiadomo też, że metal pochodzi z wnętrza ziemi. Głos metalu jest srogi, do wielkich spraw, na wojnę nim wołają. Trzebaż ostrożnie obchodzić się z trąbami: są pokręcone, błyszczące, obsadziste a strasznie głośne. Ile toto wymaga tchu! Dotkniesz — zimne, a tchniesz — burzy ci w żyłach krew.

To sama ziemia dudni w prażących głosach trąb. Cóż dziwniejszego, czulszego, wdzięczniejszego: wytopiłeś co nieco rudy ziemskiej, zakręciłeś kształtem ślimaczym, dmiesz i miedziany ślimak woła sądnym rozgłosem.

Cóż w owym towarzystwie ma wyrażać fortepian? Fortepian to instrument swój a zarazem nie swój, prawie maszyna, przysposobiona szczególniej: niby poręczna bardzo, głosu w niej szukać nie potrzebujesz, na miejscu swoim czeka, tony ma wyznaczone klawiszami, wszystkie zawsze gotowe. Wygody co niemiara, ale traf no do tego instrumentu, żeby ci duszę zwierzył!

Na skrzypcach aniołowie mogliby grać, na wszelakich dudkach drewnianych wszelkie zwierzęta leśne, na trąbach wszystkie diabły, ale na fortepianie, że takie to złożone, budowane, łatane, sztukowane z tym swoim głosem, nie ludzkim, nie zwierzęcym, i nie dmuchanym, a tylko jakimś szklanym, skaczącym, oderwanym — tylko człowiek na tej maszynie zagra.

Skrzypce chociaż malutkie — doskonałe. Trwają nigdy już nie zmienione, wieczność może przepłynąć, aniołowie zapomną, wrócą, zawsze tu u nas na ziemi te same skrzypce po powrocie zastaną. Podobnież wszystkie dudki drewniane oraz trąby. Dodasz tu jeszcze klapkę jedną, drugą i trzecią, jeszcze jedną potworną głębinę ogromnego rozgłosu ustalisz w rurze metalowej; dudka została dudką, a trąba nie stała się motylem.

Fortepian zaś nie wie właściwie skąd się wziął. Czy wywodzi początek z nawy kościoła, z chóru z organów się wywinął, czy raczej z lutni? Ciągle się doskonali ten instrument. Niczemu wiernie nie odpowiada, a wszystko w sobie mieści, w stroju swoim fałszywy jest, a wszystkim pracom muzyki najwierniej towarzyszy.

Ze skrzypiec przejął ledwie domniemany zarys śpiewu, bo gdy skrzypce całą melodię ciągną, ton pełny łącząc z tonem, fortepian ledwie tylko zaznacza melodię ciągłość tonów wypełniając domysłem. Z klarnetów, dudek, fletów, piszczałek ma znowu świegotanie, ale to świegotanie jest rozpylone oddechem, który nie mieszka w płucach żyjącego stworzenia, tylko w drewnianym pudle fortepianowym, skąd oszukaństwo ludzkie za pomocą dowiązanych pedałów wydaje tchnienia oddychającej piersi.

Krótki to jednak oddech, przy czym wielce zdradliwy: gdy coś poderwał, zaraz może pomieszać, zamazać i w porządkach harmonii rzucić jedno na drugie.

To samo w odniesieniu do trąb. Trąba wzywa metalem ziemskim do spraw zbiorowych, wielkich. Fortepianowi nie brak również metalu. Ma struny metalowe, i metalowe ramy, i rozmieszczone w tułowiu rozgłośnie

metalowe. Ale ten metal pośrednio tylko brzmi, bo się go tłumi w instrumencie różnymi tłumieniami: suknem porozścielanym zręcznie, skórką, przeróżną irchą rozpiętą na kołeczkach.

Otóż to! Taki to jest instrument zawsze tylko pośredni, podczas gdy w wszystkich innych wszystko jest bezpośrednie. Takie też ma dobycie głosu; na skrzypcach spod palca głos od razu wytryska, na wszystkich dętych, dmuchanych instrumentach dmiesz głos oddechem piersi. A tu głos leży w pudle na rozciągniętych strunach, których nie możesz poruszyć bezpośrednim dotknięciem.

Gdy uderzysz, nie szarpniesz młoteczkami jak możesz na cymbałach, ani uszczypniesz strunę jak na cytrze czy harfie. Młoteczki masz uruchomione na fortepianie za pomocą klawiszów, a znów klawisze... Co jest dalszego od muzyki, co zimniejszego, jak gładka, zimna kość? Klawisze owe kością wykładane przez kilkanaście powiązań i połączeń doprowadzają uderzenie do struny.

Może przynajmniej klawisze będą tak ustawione, aby palcom sięgać było wygodnie? Nic podobnego! Klawiatura jest płaska, wygląda raczej na rozległe liczydło, niż na zbiór tonów, którymi dusza ma wyrażać swą wolę. Zapadające pod naciskiem palców płytki kościane, białe, a znów od białych wyżej czarne, po dwa, po trzy, są równo, geometrycznie rozmieszczone. Jakże masz na tym mostku kostkami wykładanym grać dobrze swą muzykę, gdy klawiatura równa a palce rozmaitej długości?

Kciuk nie poskoczy tak dziarsko jako inne, niżej jest umieszczony i cięższy, to wiadomo. Kciuk zdoła spełniać

chyba robotę osi, na której możesz przenosić rękę dalej. Do właściwego grania zostaje przy każdej ręce palców cztery. Ale też są nierówne. Mały za mały się okaże w porównaniu z innymi, serdeczny nieruchliwy wielce i związany, środkowy znów za duży. Najlepszy wskazujący, lecz nie masz przecież u dłoni czterech wskazujących palców.

Jakże robili mistrze, by z tego wybrnąć dla pożytku muzyki? Czynili, jako mistrzom przystało: oczy na rzeczywistość przymkli i powiedzieli sobie: muzyka będzie ważna, a nie palce. Niech się stosują jak mogą do muzyki. Muzyka prawo ma idealnej piękności. Niech układ dłoni, niechże ciało człowieka służy ideałowi.

Powstała z tego mozolna grzebanina, wymyślna plątanina, podkładanie i przemienianie, zbożne dreptanie w miejscu, lecz spróbuj no się wzburzyć, wzruszyć, oszaleć, szastnąć po klawiaturze nad przepaście zachwytu... Nie wolno ci, nie możesz. Masz tak wyrobić grę, więc tak wyćwiczyć palce, aby brzmiały jak gdyby były wszystkie takiej samej długości, tak samo równe, jak jest ta klawiatura, na której grasz muzykę.

Bach tak grał i tak pisał, dla takiej ręki *fortepianowej*, z którą się żaden człowiek na świecie nie urodził. Ale Bachowi w muzyce, jak Panu Bogu w wszelkich przestworzach świata, wolno wszystko co chce. Bachowi nic przeszkadzać nie może, gdyż Bach nie gra, a rozważa i snuje samą myśl.

Dla takiej ręki klawiaturowej, równiutkiej, pisał naprawdę Mozart. Zawsze piękne, bo Mozart, ale jakby laleczka grała. Ułożone drabinki tonów (gamy) czy też

wysokie schody (pasaże) przebiegał tam i nazad, przebiegał, przedreptywał, aby po drodze porozpinać nad nimi toczone swe melodie.

Jakże drabinki te i jakże schody takie wypełnić treścią ducha?! Choćby to był sam Mozart, wiadomo, że nie można. Dlatego tętnią, dzwonią jakby ktoś po nich dreptał ciągle w tym samym miejscu. Bo duch musi się otrząść z każdej najlepszej miary, chociażby diamentu, i szukać musi jeszcze wyżej tej nowości szalonej, która odpłaca wiecznie nowym nieznanym.

Bach porządek muzyki obmyśliwał na fortepianie, starzy Francuzi tańczyli i gruchali. Mozart z dziecinną pilnością spinał się po równiutkich drabinkach aż do nieba, Beethoven zapominał po prostu, że fortepian to nie orkiestra. Stąd to tyle łomotu słychać na fortepianie Beethovena, stąd to te bulgotania akompaniamentu, stąd wynoszenie melodii do rejestrów nazbyt wysokich, na których flet wyciągałby z łatwością, lecz klawisz nie wydoła.

Na fortepianie grać w rozumieniu dzisiejszej epoki rozpoczął pierwszy Chopin. Współcześni nazywali go Kopernikiem tego instrumentu, wynalazcą, który odkrywszy istotę brzmień fortepianowej klawiatury istotę tę ożywił i dał jej ruch, jej własny.

Na czym się zasadzało to przedziwne odkrycie? Na tym, że Chopin natchnień swoich słuchał zawsze jakby je odczuwając, już w chwili ich poczęcia budową, ruchem, życiem całej ręki I to nie tamtej, fortepianowej, urojonej, idealnej, ale zwyczajnej, ludzkiej, z nierównymi palcami i nazbyt ciężkim kciukiem, i z przegubem nie dosyć giętkim, i z ramieniem silnym lecz jakże nieopatrznym.

Jak Szekspir słyszał zawsze swą myśl aktorem, dla której to przyczyny zdanie Szekspira mówi się samo z doskonałą łatwością, tak Chopin zawsze czuł ręką co ucho zasłyszało, dla której to przyczyny na klawiaturze myśl jego sama płynie, jak gdyby klawiatura dla tej myśli zbudowana została.

Nic się nie mogło począć w jego myśli muzycznej, co by nie przysporzyło uciechy, oraz czego by zwyczajna ręka ludzka nie mogła opanować; opanować przy uwzględnieniu wszelakich niedomogów, ułomności, słabości palców, dłoni, przegubu. Stąd to zawsze w każdym fortepianowym chwycie szopenowskim tyle życia tkliwego, tyle miary, tyle giętkości i taka osobliwa chwytliwość, że gdy się to utwierdzi w palcach, wszystkie są w swej naturze przyrodzonej uszanowane pięknie.

Takie mądre współczucie przynosi zawsze plony; gdy materiał uszanowany, duch odpłaca jeszcze wyższym polotem.

Mówiono dotąd: niech pianista wyrówna grę, usprawni mięśnie, ażeby palce niczym myszki po klawiaturze biegały sypiąc perlistym ziarnem najdorodniejszych gam. Biegłość, myszki, perełki, czy też olbrzymi magiel gry lisztowskiej? Chopin rozumiał, że nie należy wyrównywać różnic stworzonych przez naturę. Nie myszki, nie perełki wysypywane na śliską kość klawiszów dziesięcioma palcami. Dziesięć palców to dziesięciu aktorów, grających w napisanej muzyce dziesięć ról rozmaitych. Raczej dziesięć postaci o odmiennym obliczu, o duszy

różnorodnej. Niech każda z tych postaci odgrywa swoją rolę w zakresie własnej duszy.

Z takiego założenia dopiero, z pojęcia o narzędziu technicznym, prześwietlonym wartością duchową, wykwita technika instrumentu. Dopiero w takiej technice zabrzmi natchnienie nieporównanym pięknem tonu, barwy i ruchu.

Tajemnica fortepianu Chopina nie tylko w samej harmonii i melodii, w geniuszu i we wszystkich przyczynach doniosłych i tragicznych, które na ów geniusz wpłynęły. Tajemnica czarów szopenowskiego fortepianu w owym słuchaniu ręką. Stąd każdy zwrot tak ludzki, stąd każda tonów figura własna, jedyna, stąd tyle człowieczeństwa w każdym przebiegu brzmień, stąd tyle bohaterstwa a zarazem współczucia w każdej muzycznej myśli.

Radzili mu, prosili, by nie tylko fortepian, ale większe muzyczne kanwy wypełniał swą muzyką. Nie rozumieli, że nie umiałby słyszeć swego geniuszu inaczej, jak palcami mknącymi po klawiszach. Muzyka jego kwitła i rozwijała się, i dojrzewała w ludzkiej dłoni, jak się róża w pnączach krzewu rozwija, nim na gałązkach kwitnie.

Takie róże z najdziwniejszego krzewu ręki ludzkiej to etiudy Chopina. Gdy się przekonał, że palcom w kilku najprostszych chwytach trzeba by przyjść z pomocą, że należałoby ułatwić pewne ruchy przegubów, tyle się zastanawiał słuchem nad tą sprawą i tyle o tym marzył, i tak te niedomogi ludzkie słyszał już ulepszone muzycznym swym marzeniem, że się z tego wykluły

owe róże, etiudy, bez których, jak bez Bacha, nie mielibyśmy widoków na coraz większą, coraz szczęśliwszą doskonałość formy.

Etiudy to marzenie o udoskonaleniu narzędzia pracy, o wspomożeniu ręki ułomnej, ale twórczej. W takim pojęciu szopenowskim ułomność darzy wdziękiem, wada znajduje formę duchowej piękności tak doniosłą, że się przeistacza w zaletę. Bo czemuż ręka ludzka nie sprosta, gdy ją pociągniesz duchem nieśmiertelnym?!

Etiudy szopenowskie to nie tylko szkoła dla palców i nie tylko rozkwit harmonii nowej, ale katechizm sztuki: jak to w sztuce należy zawsze całym sercem wniknąć w materię. Nie być dumniejszym od jej oporu. Nie łamać, ale duchem prześwietlać; nie rozkazywać, ale miłością kształcić.

Takie to rozumienie rzeczy, obejmujące niedomogę materii, sprawiło, że się materia poddała Chopinowi na zawsze. Objawiła mu się we wszystkich możliwościach rozwoju, aby się potwierdziło raz jeszcze w dziejach sztuki, że nawet na niedościgłych wyżynach tonu nic nie masz szczytniejszego ponad przezwyciężoną słabość zwyczajnego człowieka.



TREŚĆ

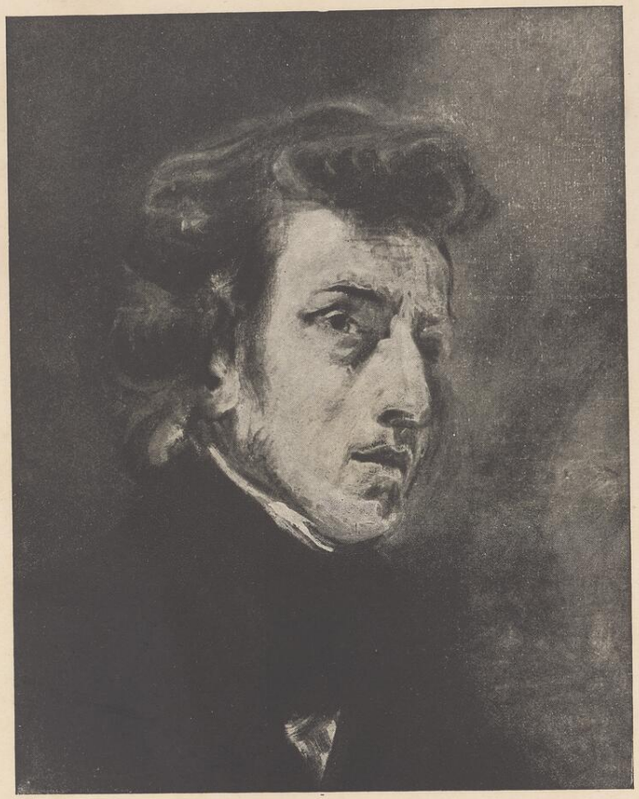
CZYM BYŁ CHOPIN	5
ŻELAZOWA WOLA	13
ŻYCIE CHOPINA	29
Wstęp	31
Dzieciństwo sielskie, anielskie	34
Młodość górna i chmurna	44
Wiek męski, wiek klęski	57
Pamiątki	77
NUDY PISANE	83
PRZED WELLINGTONEM	97
HARMONIA	107
SZTUKA FORTEPIANOWA CHOPINA	119

24125/I

NARODOWY INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA BIBLIOTEKA

Zbiory Stowarzyszenia I. F. C.

002402
Narodowy
Instytut
Fryderyka
Chopina
B/1



1810 — 1849

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

ŻYCIE CHOPINA

GEBETHNERI
1 9 3